



Krzysztof Kieślowski

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XVII Nr 5(189) Żelów, maj 2012

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Ignacego S. Fiuta, Jerzego Stanisława, Fronczka, Stanisława Grabowskiego, Stefana Jurkowskiego, Janusza Orlikowskiego, Małgorzaty Skwarek-Gałęskiej

Andrzej Dębkowski – „Powiedz mi, powiedz” oraz *Faron wraca do korzeni*

Leszek Żuliński – *Rozgarnianie mgły*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

Stefan Jurkowski – *Maślanka i poezja*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Bajeczno-mityczny pejzaż poety*

Igor Wieczorek – *Największy sekret Pana Kleksa*

Kazimierz Ivosse – *Tyle wyciągniętych dłoni...*

Andrzej Bartyński – *Cyga*

Emil Biela – *Złote buty – bliźniaki*

Irena Kaczmarczyk – *Wielki reżyser duszy*

Ewa Michałowska-Walkiewicz – *Polskie przysłowia*

Andrzej Gnarowski – *Pejzaż duchowy Danuty P-B*

Mirosław Pisarkiewicz – *Święty Icek*

Jarosław Stejskał – *Skończył się dzień utrapień*

Henryk Pustkowski – *Autobiograficzna opowieść*

Krzysztof Graboń – *Próba odczytania znaków*

Wydarzenia

Informacje

Zapowiedzi

Opinie

Noty

Poglądy

Konkursy, Witryna

Kronika



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Informacje

XIX Międzynarodowe Spotkania Poetyckie „Maj nad Wilią”

Wilno 01125 Iŝganytojo 2/4 - 3705 2123020,
w Polsce: 508764030; znadwilii@wp.pl

Drodzy Koledzy, Przyjaciele „Majów nad Wilią”, Szanowni Państwo!

Jako organizator XIX Międzynarodowych Spotkań Poetyckich „Maj nad Wilią” cieszę się, że ten festiwal polskich poetów w Wilnie cieszy się powodzeniem, zyskał rozgłos, że dzięki niemu powstały liczne utwory literackie i przekłady, książki i filmy, audycje radiowe, że nasi goście mogli lepiej poznać historię, dzień dzisiejszy Wilna, Wileńszczyzny i Litwy, uzmysłwić nasze dokonania.

Spotkania powstały jako impreza środowiskowa i spontaniczna, z odruchu serca – i choć jest to jeden z największych festiwali literackich na Litwie (a i w skali Polski może imponować), to nasze możliwości, mimo chęci podjęcia jak największej liczby gości, są ograniczone.

Nasze imprezy mają charakter otwarty i – mówiąc językiem współczesnym – wielu fanów „Maja nad Wilią” w tym dniach przybywa do Wilna we własnym zakresie i jest razem z nami.

Staramy się, by „geografia” przedsięwzięcia była jak najszerza, dlatego wśród około dwudziestu tegorocznych, już potwierdzonych uczestników zagranicznych festiwalu, znaleźli się ci, którzy na festiwal przybędą po raz pierwszy, jak też osoby, które z polskimi poetami na Litwie utrzymują stałą współpracę.

Naszemu dyskusjom i wędrownym planują towarzyszyć ekipy TVP i Polskiego Radia, mediów miejscowych.

Drodzy Koledzy i Przyjaciele, serdecznie zapraszam w dniach 27-31 maja do obcowania razem z nami z poezją i prozą, historią, muzyką i malarstwem. Istnieje możliwość, by uczestniczyć w programie festiwalu, zamówienia hotelu i wyżywienia u organizatora, ale odpłatnie.

Wszystkich, których drogi zaprowadzą w tym czasie do Wilna, przyjmujemy do naszego grona z radością i serdecznością.

Z poetycko-majowym pozdrowieniem
znad Wilii – Romuald Mieczkowski

Konkursy

XII Agon Poetycki „O Wieniec Akantu”

Redakcja miesięcznika „Akant”, nawiązując do swych symbolicznych korzeni śródziemnomorskich, ogłasza dwunaste zawody poetyckie dla wszystkich bez wyjątku twórców, pragnących zmierzyć się na arenie tematu:

Droga... Czy tylko do nieba?

Do zawodów zostaną dopuszczone te wiersze, które w sposób mniej lub bardziej bezpośredni nawiązywać będą do tego – określonego w temacie zawodów, niezmiernego obszaru egzystencjalno-kulturowego.

Utwory, nigdzie nie publikowane i nie wysyłane na inny konkurs, w ilości od jednego do czterech, w trzech egzemplarzach opatrzonych

godłem, należy nadsyłać pod adresem: Redakcja Akantu, 85-010 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 62/1 – do 28 grudnia 2012 roku. Jury przyzna osiem nagród: Grand Prix (600 zł), I nagroda (400 zł), II nagroda (250 zł), dwie III nagrody (po 100 zł), cztery wyróżnienia (po 50 zł).

Jury, mając możliwość nieprzyznania którejś z nagród, dokona również wyróżnienia poprzez wybór utworów do publikacji w „Akanicie”, a także w almanachu po konkursowym, który ukaże się do końca 2013 roku.

Wyniki dwunastego agonu ogłoszone zostaną na łamach miesięcznika Akant w styczniu 2013 roku wraz z tematem kolejnego agonu poetyckiego.

X Konkurs Poetycki im. Jana Kulki

Rozstrzygnięty został X Konkurs Poetycki im. Jana Kulki (1937-2000) w Łomży, na który wpłynęło 251 zestawów wierszy z całego kraju, w tym kilka z zagranicy. Jury – Henryk Gała, Janusz Termer i Wojciech Szymański przyznało sześć nagród. Nagrodę Główną od Zakładów Spożywczych BONA w Łomży (dwa tysiące złotych) otrzymał **Janusz Koryła** (godło „Mateusz G.”) z Rzeszowa, Nagrodę Prezydenta Miasta Łomża (tysiąc złotych) za wiersz „Po dziadku” otrzymała **Dorota Ryst** (godło „przerwa na reklamy”) z Warszawy.

Pozostałe nagrody ufundowane przez Miejski Dom Kultury – Dom Środowisk Twórczych, organizatora konkursu oraz Miejską Bibliotekę Publiczną, Wyższą Szkołę Agrobiznesu i Łomżyńskie Towarzystwo Wiedzy Powszechnej przyznano **Adamowi Szymurze** (godło „kolba”) z Tarnowskich Gór, **Kamili Pawluś** (godło „grabuła”) z Warszawy, **Marcie Jurkowskiej** (godło „tarantula”) z Olkusza i **Idzie Sieciechowicz** (godło „Be bop vocals”) z Madrytu.

Rosnąca liczba uczestników spoza kraju skłania organizatorów do korekty regulaminu konkursu, a także rozszerzenia jego formy w rodzaj festiwalu, co bliższe będzie osobie patrona, który poza poezją „uprawiał” imprezy literackie, organizując takie, jak Kłódzka Wiosna Poetycka (1961-1974) i „Być Poetą” w Łomży, w 1981 roku z udziałem Czesława Miłosza.

(hg)

III Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O kwiat dziewięciśła” w Skomielnej Czarnej

Konkurs jest organizowany pod patronatem Ochotniczej Straży Pożarnej w Skomielnej Czarnej (gmina Tokarnia, pow. myślenicki, woj. małopolskie) przy wsparciu Urzędu Gminy Tokarnia.

Konkurs ma charakter otwarty i skierowany jest do autorów zrzeszonych jak również niezrzeszonych w związkach twórczych oraz bez podziału na autorów przed debiutem i po debiucie. Uczestnik konkursu musi mieć ukończenie 16 lat.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest

nadesłanie zestawu trzech wierszy w czterech egzemplarzach wydruku komputerowego lub maszynopisu. Rękopisów nie przyjmujemy. Tematyka utworów jest dowolna. Łączna objętość zestawu wierszy o tematyce dowolnej nie może przekraczać 3 stron znormalizowanego maszynopisu (wydruku). Każdy uczestnik konkursu może dołączyć do zestawu obowiązkowego dodatkowo jeszcze po jednym wierszu (w czterech egzemplarzach każdy wiersz) w następujących kategoriach:

- nagrodę Wójta Gminy Tokarnia, pt. „Jesień w górach”;
- nagrodę Prezesa OSP w Skomielnej Czarnej, pt. „Straż pożarna, pożary, pożarnictwo”.

Wiersze w tych kategoriach będą oceniane oddzielnie. Utwory nie mogą być wcześniej publikowane w żadnych mediach ani nagradzane w innych konkursach. Uczestnik konkursu może nadesłać tylko jeden zestaw wierszy w kategorii obowiązkowej oraz wg uznania po jednym wierszu w kategoriach dodatkowych. W sumie można przysłać maksymalnie 3 (obowiązkowo) + 2 (lub 1) wiersze w 4. egzemplarzach każdy z wierszy.

Wiersze muszą być podpisane godłem (pseudonimem). Takim samym godłem należy opatrzyć dołączoną do nich zaklejoną kopertę, zawierającą na kartce obowiązkowo następujące dane autora (imię i nazwisko, dokładna data urodzenia (dzień, miesiąc, rok), dokładny adres, telefon, e-mail). Nie wolno na kopercie umieszczać nazwiska i adresu nadawcy.

Prace konkursowe należy nadsyłać do 8 czerwca 2012 r. na adres pomysłodawcy konkursu: Lesław Urbanek, 32-437 Skomielna Czarna 240, z dopiskiem: „Konkurs Poetycki”.

Organizator nie zwraca nadesłanych tekstów.

Oceny prac konkursowych dokona jury powołane przez organizatora.

Wiersze autorów podpisane imieniem i nazwiskiem nie będą podlegać ocenie jury. Wiersze osób poniżej 16 lat nie będą oceniane. Uprasza się o dokładne przeczytanie regulaminu. Prace nie spełniające wszystkich wymogów regulaminu nie będą oceniane.

Laureaci konkursu otrzymają okolicznościowe puchary, a także wraz ze wszystkimi wyróżnionymi – dyplomy i inne drobne upominki. Wskazany jest udział w spotkaniu pokonkursowym wszystkich laureatów i wyróżnionych w konkursie autorów. Tylko w wyjątkowych wypadkach nagrody prześlemy pocztą.

Organizator zastrzega sobie prawo do publikacji nagrodzonych i wyróżnionych wierszy w tomiku pokonkursowym oraz w innych mediach bez dodatkowej zgody autorów oraz bez honorarium autorskiego.

Podsumowanie konkursu odbędzie się 27 października 2012 roku. Po ogłoszeniu wyników konkursu, wszyscy laureaci będą proszeni o przesłanie nagrodzonych i wyróżnionych wierszy do organizatora, pocztą elektroniczną. Ułatwi to pracę nad redakcją tomiku pokonkursowego.

Zgłoszenie do udziału w konkursie oznacza akceptację regulaminu.

W przypadku wątpliwości informacje o konkursie można uzyskać pod numerem telefonu komórkowego: 663221329.

IRENA KACZMARCZYK

Wielki reżyser duszy

Krzysztof Kieślowski, jeden z najwybitniejszych polskich reżyserów filmowych, zmarł podczas operacji na rozległy zawał serca 13 marca 1996 roku w Wojskowym Instytucie Medycznym przy ul. Szaserów w Warszawie w wieku lat 55.

Urodzony w 1941 roku w Warszawie, syn inżyniera i urzędnika, w swoich „Dziennikach” pisze: Pochodzę z bardzo przeciętnej rodziny... miałem 16 lat kiedy na gruźlicę zmarł mój ojciec... Dzieciństwo kojarzy mi się z niezliczonymi przeprowadzkami. Z powodu przeniesień służbowych ojca, a potem jego pobytów w sanatoriach, przez lata wędrowaliśmy z miejsca na miejsce. Nie przywiązywałem się do żadnych z tych miejsc. Kiedyś policzyłem nasze przeprowadzki: było ich ze czterdzieści. Więc weszło mi to w nawyk: pociągi, z tyłu meble, zwiedziłem tak niemal całą Polskę. I dalej: Chodziłem do tyłu szkół, że często mi się mylą: zmieniałem je nawet dwa, trzy razy w roku. Dobrze się uczyłem, ale nigdy nie byłem lizusem czy kujonem...Poziom szkół był wtedy bardzo niski i nie traciłem dużo czasu, żeby się czegoś nauczyć. Nic nie pamiętam z tego, czego wtedy się nauczyłem. Nawet tabliczki mnożenia...To było chyba w podstawówce. Uważałem, że umiem wszystko, co mi jest potrzebne. Nie chciałem się uczyć. Rok prześlubiłem. Chciałem pracować. Ojciec powiedział:

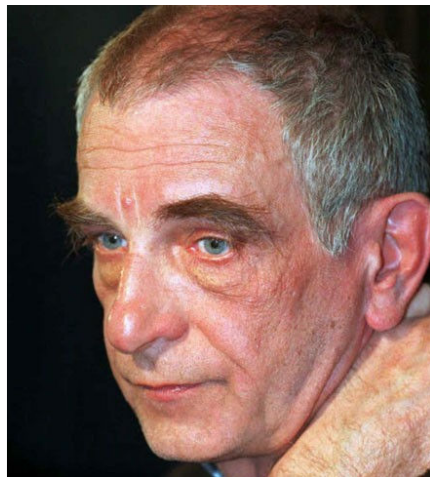
– Dobrze, to idź do szkoły pożarniczej: przynajmniej nauczysz się zawodu i będziesz pracował, tak jak chcesz. Ojciec wiedział, że jak wrócę z tej szkoły, będę chciał się uczyć dalej. Miał rację. Minęło kilka miesięcy i już chciałem...”

Krzysztof Kieślowski ukończył Państwowe Liceum Techniki Teatralnej w Warszawie a potem, za trzecim podejściem, dostał się do PWSTiF w Łodzi, którą ukończył z wynikiem bardzo dobrym, otrzymując tytuł magistra sztuki.

Karię rozpoczął od krótkich filmów dokumentalnych. Obrazem „Podwójne życie Weroniki” odszedł od tematyki związanej z problemami współczesnej Polski. Międzynarodową sławę przyniósł mu tryptyk „Trzy kolory”, za który otrzymał wiele prestiżowych nagród („Trzy kolory: Czerwony” był dwukrotnie nominowany do Oscara za scenariusz i reżyserię) oraz dziesięciocinkowy „Dekalog”, wyświetlany przez wiele sieci telewizyjnych na świecie i uzyskujący bardzo pochlebne recenzje krytyków filmowych. Kinowa wersja Dekalogu V – „Krótki film o zabijaniu” otrzymała nagrodę Felixa w 1988 roku jako pierwszy film fabularny w Europie uhonorowany tym wyróżnieniem. Po sukcesie „Dekalogu” Kieślowski nakręcił kilka filmów we Francji, choć nie znał języka francuskiego. Producent „Trzech kolorów” Marin Karmitz powiedział: Marzyłem zawsze, że jestem producentem Bergmana, Rosselinię, Viscontiego, ale nim być nie mogłem, za mło-

dy... Miałem szczęście pracować z Resnaisem, Angelopulosem, braćmi Taviani. Potem zobaczyłem filmy Kieślowskiego: szok!... Nasze spotkanie było czymś cudownym. W dwie godziny znalazłem się w środku tego, o czym marzyłem od lat...Powiedziałem, że ruszam z nim w drogę. W ciągu dwu godzin zaangażowałem 120 milionów franków... Nie tylko dla mnie, dla wielu znanych mi intelektualistów, ludzi którzy jeszcze w cokolwiek wierzą, Krzysztof jest jednym z największych, współczesnym Bergmanem czy Rosseliniem... Dysponuje on, jako artysta, niezwykłą cechą: jest zatopiony w wewnętrznej refleksji a zarazem udaje mu się przełożyć tę refleksję na język powszechnie zrozumiały... Tacy ludzie jak Kieślowski pomagają mi uwierzyć w sens pewnych słów... Swoimi filmami zrobił mi prezent, jakiego się nie spodziewałem”.

Nie należy zapominać, iż do sukcesów Krzysztofa Kieślowskiego przyczynili się Krzysztof Piesiewicz (współtwórca scenariuszy niemal wszystkich jego filmów) i Zbigniew Preisner, znakomity twórca muzyki filmowej, który od filmu „Bez końca” stale współpracował z wybitnym reżyserem. To właśnie muzyka do dzieł Kieślowskiego rozślawiła nazwisko Preisnera w Polsce i w całym świecie.



Fotograf: AFP

Krzysztof Kieślowski

Krzysztof Kieślowski jako wielki autorytet w dziedzinie filmu wykładał scenopisarstwo na uczelniach zagranicznych: w Berlinie, Helsinkach, Amsterdamie, w Szwajcarii i w kraju: w Katowicach, w Łodzi. Za „wybitny twórczy wkład do kultury ruchomego obrazu” został w 1990 roku honorowym członkiem Brytyjskiego Instytutu Filmowego a w 1995 roku członkiem Akademii Filmowej w USA.

W roku 1993 został odznaczony francuskim Orderem Sztuki i Literatury.

Twórca „Krótkiego filmu o miłości” podjął decyzję o zakończeniu kariery w roku 1994. Jego śmierć uniemożliwiła realizację drugiego trypty-

ku filmowego: „Niebo”, „Czyszczenie”, „Piekło”. „Niebo” wg scenariusza Kieślowskiego i Piesiewicza (grane również w Polsce) nakręcił potem w 2002 roku niemiecki reżyser, scenarzysta i producent Tom Tykwer; „Piekło” wyreżyserował Danis Tanović, a Jerzy Stuhr sfilmował „Duże zwierzę”.

Aby poznać dokładniej biografię twórcy „Przypadku” warto przeczytać wspomnieniowy album o reżyserze pod redakcją Stanisława Zawislińskiego pt. „Kieślowski” (1996), w którym znajdują się jego teksty (obszerne fragmenty niepublikowanych dotychczas „Dzienników”, przenikliwe refleksje o pracy filmowca, o kinie, o świecie i ludziach) oraz bardzo ciekawe wypowiedzi Agnieszki Holland, Zbigniewa Preisnera, Krzysztofa Piesiewicza, Krzysztofa Zanussiego, Adama Zagajewskiego, w których wspominają oni bliskiego przyjaciela. Prezentowane materiały pozwalają odkryć mniej znane oblicze wielkiego artysty i człowieka dociekającego prawdy, poszukującego głębszych sensów ludzkich zachowań, nieustannie zadającego sobie pytanie: jak żyć? I mającego odwagę odpowiadać na to pytanie: nie wiem...

Stanisław Zawisliński pisze we wstępie do Albumu: „Kieślowski pozostawił po sobie więcej niż filmy, do których będziemy powracać. Pozostawił też swego rodzaju mit i niedosyt wiedzy o sobie. Za życia nie zabiegał o publicy, nie lubił zwierzeń, chronił swą prywatność”.

Publikacja, licząca 156 stron, zawiera znakomite, unikalne zdjęcia i dokumenty ze zbiorów prywatnych i rodziny autora. W pięknie wydanym albumie znajdziemy również pełną filmografię (48 filmów) i wykaz ważniejszych, cennych nagród i wyróżnień.

„To jest album – mówi Zawisliński – nie o filmach, lecz o człowieku”.

Pełną biografię reżysera Stanisław Zawisliński wydał w 2005 roku pt. „Ważne, żeby iść”, stworzył tu portret Kieślowskiego wielostronny. Umieścił opinie ludzi, którzy go lubili ale i tych, którzy za nim nie przepadali.

Znakomity portret twórcy „Krótkiego filmu o zabijaniu” znajdziemy także w biograficznym filmie „I'm so-so...”, nakręconym rok przed śmiercią reżysera przez wieloletniego asystenta Krzysztofa Wierzbickiego. Dokumentalny obraz powstał na Mazurach w domu operatora filmowego Jacka Petryckiego. Bliski kolega w kameralnych warunkach prezentuje w nim sylwetkę Kieślowskiego, jakiej nie miał możliwości widzieć przeciętny odbiorca. Jest w nim podsumowany światopogląd i postawa życiowa reżysera, która miała bezpośredni wpływ na jego twórczość filmową. Właśnie 13 marca br. w 16. rocznicę śmierci twórcy „Podwójnego życia Weroniki” w Staromiejskim Domu Kultury (Dyskusyjny Klub Filmów Nieobecnych) w Piwnicy Largactil w Warszawie odbędzie

(Dokończenie na stronie 4)

Wielki reżyser duszy

(Dokończenie ze strony 3)

się pokaz tego znakomicie nakręconego dokumentu.

Każdego roku w marcu odbywają się retrospektywy filmów Krzysztofa Kieślowskiego, głównie w miastach, z którymi był szczególnie związany: w Łodzi, gdzie ukończył „Filmówkę” (niezapomniana wystawa „Krzysztof Kieślowski – Ślady i pamięć” zorganizowana przez Muzeum Kinematografii w 10. rocznicę śmierci), w Warszawie w 1998 roku (wydarzenie o randze międzynarodowej „Kieślowski znany i nieznan”: retrospektywa twórczości, sympozjum, wystawa).

Imieniem Krzysztofa Kieślowskiego nazwano sporą liczbę instytucji, między innymi Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, licea: XXIX LO w Krakowie (jako pierwsza szkoła w Polsce nosząca jego imię, w której kilkanaście lat pracowała i propagowała dorobek filmowy Kieślowskiego pisząca te słowa autorka), V LO w Zielonej Górze, XXXIV LO w Łodzi oraz gimnazja: nr 36 w Warszawie, nr 36 w Łodzi, Publiczne Gimnazjum w Mieroszowie, gdzie na cmentarzu spoczywa ojciec Kieślowskiego i także Zespół Szkół Odzieżowych w Gorzowie Wielkopolskim.

Od 21 maja 2010 roku imię reżysera zyskała jedna z par pociągów interREGIO kursujących między Warszawą i Łodzią.

W Łodzi, w której powstało wiele filmów dokumentalnych, w 1998 roku w Alei Gwiazd odsłonięto gwiazdę Krzysztofa Kieślowskiego.

Nie każdy wie, iż Kieślowski w młodości pisał wiersze. Jeden z nich pt. „Niedziela” został opublikowany w wyżej wspomnianym Albumie Stanisława Zawislińskiego. Obrazy filmowe twórcy „Amatora” (niezwykła kreacja aktorska Jerzego Stuhra) inspirują wielu poetów i amatorów do pisania utworów poetyckich, które są publikowane na łamach książek o Krzysztofie Kieślowskim; choćby znakomity wiersz Adama Mencnarowskiego, noszący tytuł „Nicość”.

Nie każdy też wie, iż Kieślowski jako reżyser teatralny w 1978 roku w Teatrze Starym w Krakowie wystawił m.in. własną sztukę pt. „Życiorys”.

Siła oddziaływania filmów Kieślowskiego jest ogromna, zwłaszcza tych artystycznie i myślowo najbardziej dojrzałych, tych które stwarzają wiele możliwości interpretacyjnych. Ukazując destrukcyjne relacje międzyludzkie, Kieślowski pozostawia widza z egzystencjalnymi pytaniami; pytaniami bez odpowiedzi. I mówi też, że nie ma innej drogi zrozumienia świata niż przez rozumienie samego siebie; nie można rozumieć innych nie rozumiejąc siebie. Więc warto przyglądać się sobie. I – podobnie jak on – wyznawać niemodną dziś wiarę – w człowieka. Dlatego właśnie fabularne filmy Krzysztofa Kieślowskiego, pełne klimatu, nastroju, tajemnicy i artyzmu są uniwersalne, ponadczasowe i znajdują wciąż nowych odbiorców.

Kraków, 9 marca, 2012

(W artykule zostały wykorzystane publikacje Stanisława Zawislińskiego: „Album – Kieślowski”, „Kieślowski bez końca”, „Kieślowski znany i nieznan”, „O Kieślowskim” (Wydawnictwo Skorpion).

Przysłowia mądrością narodu

Polskie porzekadła

Dzień pierwszy marca, od wieków uznawany jest za czas, w którym w szczególnie sposób kultywuje się tworzenie przysłów i porzekadeł polskich. Jak wiadomo, tworzą one kulturę naszego narodu.

W średniowiecznych archiwach

W zbiorach starych zapisków poznańskich, które pamiętają czasy wieków średnich czytamy, iż wszystkie polskie przysłowia, w szczególności związane są z naturą i otaczającą nas przyrodą. Rzadziej łączą się one z zachowaniem człowieka i jego kulturą. Bardzo dużo przysłów pojawiło się z nastaniem czasu przesilenia wiosennego, często noszącym nazwę przedwiośnia. Obserwowano wówczas zachowanie się zwierząt gospodarskich, jak również przyglądano się zachodom słońca i księżycy.

Gdzie pieje kogut

Obserwowano dla przykładu, w jakim miejscu pieje kogut, czy czyni to stojąc na ziemi, czy znajdując się na grzędzie. Z tym faktem, też związane jest jedno przysłowie...
Gdy kogut pieje na ziemi, wszystko na dobre się zmieni, gdy pieje on na grzędzie, jak było też i będzie...

Skarbnicą polskich przysłów jest jak mówi nam książka nosząca tytuł „Sądzę, o tym tak samo” Jana Niewidomskiego, pewnego rodzaju zasadowość polska. Czytamy w niej, że z czasem zbliżania się okresu wiosny, obserwowano zachowanie się faz księżycy. Uważano, że im więcej razy księżyc będziemy obserwować w pełni, tym więcej szczęścia spłynie na ludzi. Gdy zaś, księżyc będzie widoczny jako rogalik, dla człowieka nastaną czasy smutku i znoju. Z faktem tym związane jest następujące przysłowie.

...Księżyc okrągłutki, nie braknie ci chleba, masła ani wódki...

Na ostatnie dni lutego

Z końcem lutego, ludzie obserwowali zachowanie się hodowanego w gospodarstwach bydła. Gdy byłoby to było bardziej spokojne i z chęcią spożywało podawane im jadlo, wróżyło to nadchodzący czas spokoju i szczęścia. Gdy zaś zwierzyzna ta była bardzo podniecona gospodarze upatrywali w fakcie tym, nastania okresu biedy i nękających daną rodzinę nie-szczęść.

...Krowa jest spokojna, z dała wszelka wojna. Gdy się ona wścieka, każdy kto żyw narzeka...

W klubie literackim w Kraśniku

– Pani Zofia Maruszewiczowa-Grzmil, jest

pasjonatką zbierania porzekadeł polskich. Gdy nastaje dzień pierwszy marca, to ona organizuje w klubie literatów Osnowa w Kraśniku, spotkania na których dzieli się ona z zebranymi tam gośćmi, swoją wiedzą i doświadczeniem wynikającym ze zbierania przysłów polskich. Na takowych spotkaniach, zgromadzonych jest zawsze wiele osób, w których prym wiodą zawsze uczniowie szkół średnich. Z przysłów możemy dużo czerpać wiedzy na temat nadchodzącego czasu. Ludzie przez lata obserwując naturę, nauczyli się przesądzać o tym, co przyniesie nam najbliższa przyszłość – dopowiada pani Zofia.

Chodź na spotkania literatów

– Bardzo lubię przebywać na takowych spotkaniach u pani Zosi, gdzie można nie tylko delektować się starymi podręcznikami, w których zebrane są porzekadła polskie. Można też od niej samej czerpać należytą wiedzę w tej materii. Mnie chwyciło za serce jedno takie powiedzonko, związane z nadejściem okresu żniw.

Żniwa gdy już będą, chodź jak za kołędą...

Zbieraj sznurki wory, chowaj zboże do

komory...

Uważaj na pianie kura, bo gdy długie, zła

natura...

Odbierz ci łanów tyła, że będziesz miał sok z badyla...

Powiedzenie to brzmi złowieszczo, ale może i dlatego ma ono swoją dziwną charyzmę i przesłanie – mówi Kasia Sułek.

W Dniu Przysłów i Porzekadeł

Z okazji Dnia Porzekadeł Polskich, w różnych miastach Polski, odbywają się odczyty, z tej to okazji, ale też i wiele z dawnych dzieł literatury polskiej, przechodzi swój renesans. W starych księgach, także przeczytać można dużo zawartych tam przysłów i powiedzonek. Mistrzem tej sztuki był bohater sienkiewiczowskiej Trylogii pan Onufry Zagłoba. To właśnie dzięki niemu wiemy, że gdy w brzuchu pusto, w głowie groch z kapustą...

EWA MICHAŁOWSKA-WALKIEWICZ



Rys. Barbara Medajska

MNIJ WIĘCEJ (87)



Rozgarnianie mgły

Ukazał się piętnasty już tomik Stefana Jurkowskiego, autora dobrze znanego Cytelnikom „Gazety Kulturalnej”.

Stefan i ja jesteśmy poniekąd bliźniakami „w inicjacji”. W roku 1975 w Instytucie Wydawniczym PAX ukazały się dwa debiuty poetyckie: jego tomik „Wysokie lato” i mój „Z gwiazdą w oku”. I tak od tamtego czasu przyjaźnimy się i piszemy swoje kolejne książki. Stefan był przez te lata bardziej aktywny jako poeta, ja – jako krytyk. Mocno to powinowactwo towarzyszyć sobie przez tyle lat w życiu literackim, skądinąd bardzo bogatym, momentami nawet dramatycznym...

LESZEK ŻULIŃSKI

Ten nowy zbiorek Stefana o intrygującym tytule *Studnie Andersena*, to prawdopodobnie jedna z jego lepszych książek poetyckich, choć wszystkie trzymały dobry poziom dziełnie. Widać jednak tę narastającą smugę cienia, która zagęszcza wiersze i choć nie przynosi odpowiedzi na najistotniejsze pytania (no bo i jak?), to formułuje je coraz celniej.

Jurkowski jest klasycznym dychotomem: hedonistą i lubieżnikiem życia, wesółkiem, ironistą, sarkastycznym złośliwcem... Ale także metafizykiem wysokiej klasy. Z jego „studni Andersena” dobywa się głos „leśmianowskiej wiedzy”, choć – rzecz jasna – mocniej osadzony w realiach naszego czasu.

Leitmotiwem jego poezji jest zadziwienie. Zadziwienie mroczną tajemnicą, która staje się tym bardziej jasna, im mocniej wsluchujemy się w sens (bezsens?) losu. Mądrość poetycka i życiowa Stefana sprowadza się do tego, że nie usiłuje on formułować odpowiedzi. Filozofia przypadku, tajemnica czasu i egzystencjalnej teleologii, postawa wyraziście agnostyczna powodują, że fundamentalne pytania brzmią mocno, zaś odpowiedzi nadal ukryte pozostają nie tylko w szelnie zalakowanej kopercie wiersza, lecz nawet w we wszystkich dezyderatach, którym zdawało się, że odkryły prawdę. To mi się tutaj najbardziej podoba: ta tajemnica, wobec której poeta nie uzurpuje sobie siły do zerwania kwefu. On raczej delikatnie rozgarnia mgłę, narusza opary odurzenia, w których błądzimy jak ślepy z Bruegla...

Jurkowski „bada” nasycenie skończoności nieskończonością i nieskończoności – skończonością. Byłby głupcem lub zadufanym alchemikiem, gdyby nam podał w procentach natężenie tych roztworów.

W pewnym momencie tej lektury skojarzyła mi się Pascalowska definicja *trzciny myślącej*. W niej tkwi paradoks, siła, słabość, możliwość i niemożliwość wszystkich naszych domysłów oraz potencji. I w takich właśnie przekonaniach wiersze Stefana celują.

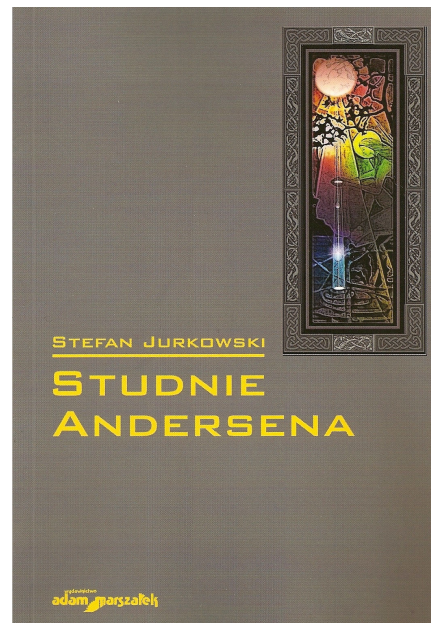
Szczególnie jestem mu wdzięczny za dojrzały stoicyzm. „Kwestie ostateczne” źle znoszą rozdzieranie szat, a po historii zdradzają miłość wtajemniczenia. Uświadomiłem sobie po lekturze, jak wiele zawdzięczamy śmierci: gdyby nie ona, nie stawialibyśmy wielu pytań, które nasze życie czynią myślącym.

Poezja Stefana Jurkowskiego nie jest poezją buntu ani Rejtanowych gestów. Raczej poezją konstatacji i ufności w ład nadrzędny, jakiegokolwiek nie byłby jego wyroki. A nawet szukaniem jasnych stron ciemnego medalu. Bowiem istotną jej ingrediencją są tu wspomniani stoicyzm i hedonizm. Swoisty solipsyzm przebijający się w tych tekstach, pozostawia otwartą furtkę dla innych. Na przykład nie ma tu akcentów erotycznych. Subtelnych, nie pławiących się w pikantnych sosach, ale też raczej poszukujących zadziwienia teatrem miłości i jej zakulisowym mrokiem.

Muszę też odnotować kilka cudownych wątków autotematycznych. Przeczytajcie np. wiersz pt. *Poei* (ze mną, hehe, w strofie drugiej) – nazwałbym go doskonałym „wierszem krytycznoliterackim”, w którym Stefan narysował krótkie i przekonujące portrety kilku bliskich sobie autorów. A w wierszu *Poezjo trwaj* to cudne zdemaskowanie kolegów po piórze: *na zewnątrz cierpiętnicy wewnątrz świntuchy obleśne...* I tak właśnie lekkość tego tomu przeplata się z jego powagą, dowcip – z traktatem filozoficznym serio.

Za majstersztyk uważam wiersz pt. *Rola erotyku*. Tematyka miłosna jest tu pułapką, tak naprawdę to przecież parabola czegoś więcej, czegoś wyżej... A pointa? Genialna! Dowcipna i uzmysławiająca nam grę cieni, złudzeń i mirażów oraz absurdów, w których dzieje się cały nasz świat. *...bo to wszystko jest teatr po czesku – divadlo*.

Jurkowski nie ściga neojęzyka, raczej pejzaże i klimaty filozoficzne. Opowiada myśli, przeczuca, domysły, wizje, swoje „proroctwa”. Daleko mu do poszukiwań awangardowych, a jednak chyba osiągnął to, co najważniejsze: siłę własnej dykcji, swój światopogląd transcendentny, swój model „poezji rozpaczy”, w którym rozpaczy nie ma, a jest mądrość stoika, który wie, że to, czego nie wie, może niepokoić, lecz nie powinno odbierać nadziei. Zaś uroda życia warta jest katuszy: ona przynajmniej płaci nam odszkodowanie z góry! I tu się, Stefanie, chyba bardzo rymujemy.



Stefan Jurkowski, *Studnie Andersena*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2012, s. 102.

Stefan Jurkowski

Rola erotyku

chciała bym napisać o niej wiersz
a to tak jakbym pisał o jedzeniu trawieniu
wydalaniu

żadnego tutaj wzruszenia poza fizjologią
nawet smutek rozstania jest udawany
bo przecież trzeba na chwilę
okazać ludzkie uczucia nawet gdy ona
w to nie wierzy – więc tym bardziej wiersz
ozdobny i jaskrawy niczym landszafcik
choć właśnie cała radość bywa w udawaniu
bo to wszystko teatr
po czesku divadlo

Przez telefon

po co się spotykać – powiada ona –
telefon przy uchu bryłą lodu
a ucho czeka na cieplejszy promień

po co – jej głos na moment łagodnie –
telefon się rozgrzewa
krążę po mglistych widnokrogach
w znowu stygnącej zamieci
niczym w kosmicznym pyłe słów
które spadają w głąb nieskończoności

nie znaczą nic
dzień się przechyla jakby miał upaść
pogrzebać pod sobą świat
słowa –
po co się spotykać
i nas
niedopowiedzianych do końca
uboższych o jedno spojrzenie
o jedno ocalenie

Jerzy Stanisław Fronczek

MGIELNY – dwudziesty szósty

Kiedy będziemy coraz starsi
i wiatr uderzy za kotary
w gniazdo jutrzeńki zmierzchu resztki
wargi wyschnięte w pustym dzbanie

a ty mnie ciszą lekko dotknij
i zamień w srebro na swej tacy
kwiat poźółknął w wym wazonie
mgła utka welon z liścia gwiazdy

MGIELNY – trzydziesty

Pogasłe latarnie włosów dzikiej róży
nakarmiłem mgielną ciszą
uśmierzyłem ból i chwile zwątpienia
by na powrót ożyły
tajemnym blaskiem dzikiej miłości...

MGIELNY – trzydziesty pierwszy

pamięci Sergiusza Jesienina

Gdy jesienią liście spadają z drzewa
ziemia obraca się odrobinę prędzej
wszystkie dni są wtedy trochę krótsze
niebem przepływają zamglone łabędzie

włosy komet oświetlają pustkę kosmosu
kobyłe łąki płyną ciemnym niebem
wiatr zdejmuje sukienki z bioder
i szkarłatnym jaspisem otula kobietę

Ignacy S. Fiut

Krakowskie sny

kiedy tylko wychylę głowę z rękawa mojego
domu ogarnia mnie sen, do którego kołyszą
niebieskie przeguby autobusów
i tramwajów miejskich
uliczny splin

pasam niekiedy w malignie nocy białe
kozy na zboczach Kopca Kościuszki
frunę z chmarą jazgotliwych kawek
nad brzegiem zielonego
jeziora Błoń

innym razem budzę się spocony
kroplami nocy na ciele
a spod korony Wawelu
odpływają wianki
mojej naiwności

wiem, że jutro rano brunatne fale
zmarszczek na tafli Wisły
o poranku utopią mój
sen i marzenie
o wieczności

jego mara zawieruszy się pewnie w okolicach
Barbakanu pomiędzy kolorowymi
obrazami wyzywającego makijażu
Bramy Floriańskiej i tam mój
sen pozostanie z Wami

na wieki

Kraków, styczeń 2012 roku

Zwidy poranne

Monument Wawelu i Kurza Stopka
cień Jadwigi odciśnięty
na ceglany murze
Collegium Novum
uśmiech Papieża grzejący
wyobraźnię Wyspiańskiego
na witrażach katedry
przy ulicy Franciszkańskiej
a obok w kałuży
paruje „twarz mojego boga”
– Słońca

na Plantach spotykam
poetkę bracia
– widzę i czuję
że się tej nocy urzęni
z ich oczu wyziera
skatowana dusza
Krwawej Mery

Czy Ty widzisz
to samo, co
ja?

*Kraków, wczesnym porankiem
14 kwietnia 2012 roku*

Janusz Orlikowski

Doznać dnia

namiętnie puka zegar
w ciszy pot na czole
leki i słowa
poranek dobrej nadziei

naprawiamy rzeczywistość
szepnął anioł i skrył się;

namiętnie puka zegar
w ciszy; mięsisty mechanizm
tik-tak jak dzwon bim-bom
oznajmia te same zdarzenia

by chociaż bom-bim lecz
tak-tik zgrzyta zębami

pot na czole leki i słowa
naprawiamy rzeczywistość
szepnął anioł i namiętnie puka zegar
w ciszy

doznać dnia kiedy Ewa i Adam
ich synowie Abel oraz Kain
idą tą samą ulicą

Mam czas

o, ile dni przede mną
ulubionych poranków
nawet gdy pada

wtedy zjawia się słońce
oczu odbitych w lustrze
i chłonie każdy szczegół

spokój leków na stole
kolorowych kamieni
ich wewnątrz
zamknięte światło

cisza opiekunka strapiionych
podaje z uśmiechem swe ramię

Ukryty jestem

ukryty jestem w ramionach słów
na dni których nie zabraknie
bo pomylił się czas

i będzie śmiech gdy w drodze
zegary wskażą – każdy inaczej
ze wstydu zwiną wskazówki
zasną

zbudzę je oczyma
w których rozkwitną bzy
ich błękitny granat

ukryty jestem w ramionach słów
na dni których nie zabraknie
moje ciało jest mocne

choć
zużywa mnie życie
dla swoich potrzeb

Małgorzata Skwarek-Gałęska

...i...

jedna litera
a jaka nadzieja na ciąg dalszy

oczy Musorgskiego
smutek ból zmagania?
szlafrok potargane włosy
ale Riepin zobaczył w nich: i
tak jak u zesłańca co niespodzianie
wrócił do rodziny: i

jedna litera
a jaka nadzieja na opowieść

taniec

pod nogi kapią persenidy
zdziwione brakiem zainteresowania
gdy tańczymy wokół tematu
powietrze z sykiem odbija się
od skóry którą też bym zrzuciła
gdybyś...

wieczór autorski Ewy Filipczuk

w zależności od
muzycznego passe-partout
inny kolor mają wiersze
inny kolor mają dworce
włosy kobiet
nawet ich torby na zakupy
czerwona trawa wydaje się ruda
czarnym butem wystukany rytm
własny akord słowa
za moimi plecami posapuje czajniczek
nakarmiona aromatem czekoladowej kawy,
o nucie pomarańczy,
którą pije pani Ela
słonym chrupiącym dźwiękiem
unoszę z sobą ostatnie nuty
z „Pożegnania z Afryką”
między światła i ludzi Piotrkowskiej.

gra

dają się wciągnąć w grę
światła dnia na skórcie owocu
palców leniwie błędzących
wsluchanych w niepokój świetlików
delikatnie zielonych listków
ogrodowej mięty przez którą
całujesz smacznie
stworzyłeś spokojem
wyrwałeś spod ziemi
korzonkiem perzu
gładziłeś by zmienił w powój
zakwitam nachylona ku tobie
oddasz mi oczy
ja tobie wzrok

Ostróżka

pośród traw znalazłeś mnie Ostróżka
błękitnym światłem zerkającą.
wędrowałeś po brzegu
delikatnie, ostrożnie, mądrze,
zachwycony zmianą kostiumów
z wyniosłej na ogrodową
z tatrzańskiej na Ostróżczkę.

płatek za płatkim uświęcał
palce rozmarzone pieszczotą
zmysłowym dotykiem lazuru.
kielichy chyliły się niebieskim miodem.

wiedziałeś
nie wzięłeś więcej niż dałam

przymus roni truciznę

krach słów

małe duże skrzydełka
wachlują przestrzeń
subtelniej niż ramiona wiatraka
zaatakowanego lancą
delikatniej niż połą wachlarza
w dłoni uzbrojonej tradycją

oderwany puch znaczeń prószy
w oczy zawieją w okna literą

zasłoni zdesperowaną myśl
okorowaną wielokrotnie
ukrytą w zwojach w trzewiach
w biologicznej tkance

osiadając formuje dźwigary
betonowych mostów
nie bardziej solidnie niż
skrzydlaty śnieg
czy wiórki z ołówka
gdy zbuntuje się ziemia

**Stanisław
Grabowski****Do panów żurnalistów**

Opowiem wam tylko tyle
Ile pamiętam.
Umierają świadkowie,
Płoną dokumenty.

Więc po co chcecie
Spotykać się ze mną,
I szukać celu,
Którego nie ma.

Nie ma też drogi
Do niego.
Może jest gdzieś ścieżka
Ukryta w lesie
Waszych pożądań,
Ale ja jej nie odnalazłem
I nie szukam.

Coraz bliżej podchodzą
Do brzegu Morskie fale.

I to wszystko.

Muzeum 2050

Oto człowiek na krzyżu.
Bezbronny i nagi.
Proszę państwa,
Trochę powagi.

W stopach i dłoniach
Gwoździe,
Najpewniej drewniane.

Z boku rana
Włócznież zadana.
Wyraźny ślad krwi,
Znaczy się skrzep.

Proszę państwa,
Bez komentarza.
Kapcie do szatni.
Toaleta
Na końcu korytarza.

Bez mamy

Mój tata po śmierci mamy
Niczego w mieszkaniu

Nie zmienił, nie przestawił.

Nóż, którym kroił chleb,
Pozostał na tym samym miejscu
W szufladzie.
Serwetki pod doniczkami
Nie miały prawa się przesunąć,
Ścierki dalej skromnie wisiały
Przy kuchennym piecu.

Jej szlafrok, ręczniki, mydelniczka,
Grzebienie, szpilki do włosów,
Kolczyki, suknie, buty, bielizna,
Okulary, igły, nici, włóczka,
Kłębki wełny z wetkniętymi drutami
(robiła nam swetry),
Jak zawsze na wieszakach,
Na półkach, w pudełkach.

Tylko z albumu
Zdjęcia mamy
Przeniosły się na ściany,

Na telewizor, na stół.
Mama jest piękna i młoda,
Mama się uśmiecha,
Gdzie się nie obróciś
Patrzy na ciebie.

„A pamiętaj, podlewaj
drzewko szczęścia”, mówiła do taty.
Stało na nocnej szafce,
Ogromne i zielone.

„Staralem się”, tłumaczył mi,
Zbierając na szufelkę
Liście czarne i martwe.

Nie zaufały nowemu opiekunowi?

Magister Sancho Pansa

Jak to się stało,
Że Sancho Pansa
Spod kopii pana uszedł,
Poza jego rękę z pejczem.

Jak to się stało,
Że w karczmie nie dźwigał
Kufli jasnego piwa
Pod ciemną powałą.

Jak to się stało,
Że dziewczek nie tykał,
Na mszy świętej bywał,
Pięć groszy rzucał dziadom.

Jak to się stało,
Że łeb nad księgą pochylał,
Nie przysnął ani chwili,
Aż mowę przyswoił sobie.

Kiedy to się stało,
Magistrze Pansa,
Że i w łaskę wchodzisz
Wójta i plebana?

JAROSŁAW STEJSKAŁ

Skończył się dzień utrapień

(2)

Dewastacja budynku fabrycznego trwała tak długo, aż groziło jego zawaleniem. Wówczas to dopiero przekazano obiekt właścicielowi. Takie to obowiązywało prawo w okresie realnego socjalizmu.

Do tego czasu krosno oraz urządzenia pomocnicze gnieździły się w pomieszczeniach mieszkalnych. Wprawdzie budynek fabryczny odzyskano, ale i wówczas prywatna produkcja była przez państwo brutalnie ograniczana wysokimi podatkami. Któregoś dnia przyszedł nakaz płatności skarbowej, tak zwany domiar, którego spłacenie graniczyło z obłędem. Władza ludowa miała sposób na dłużników i wkrótce komornik skarbowy, na poczet długów, opieczętował cały dorobek rodziny. Jednocześnie wyznaczono terminu jego licytacji. Tak więc szybko skończyła się iluzja rozwoju prywatnej przedsiębiorczości. Ponieważ nieszczęścia chodzą parami to i matka Juliana, wprawdzie odzyskała wzrok po operacji, ale schodząc po drabinie spadła i złamała nogę. Nie było w tym czasie takich możliwości, aby u osoby w podeszłym wieku można przywrócić pełną sprawność fizyczną. Do końca życia poruszała się o kuli lub z pomocą mieszkającego z nią brata. I znów tylko Julek pozostał do pomocy. I tak z każdym dniem trosk przybywało. Brakowało środków na utrzymanie rodziny. Z zatrudnieniem w przedsiębiorstwie państwowym, przy nadmiarze siły roboczej, niedawnego fabrykanta, nie było mowy. Przecież to wróg klasowy, a dla takich nie ma miejsca w społeczeństwie. Julian rad, czy nie rad, próbował prowadzić gospodarstwo rolne, przecież miał obowiązki utrzymania rodziny.

Zaniedbane gospodarstwo rolne chorej matki wymagało nakładów sił i środków do jego prowadzenia. Jak potrafił tak wiązał koniec z końcem. Brak maszyn, a także brak pieniędzy na ich kupno, zmuszało domowników do wykonywania prac wyłącznie własnymi rękoma. Do koszenia zboża służyła kosa, a potem, przez całą zimę, odbywała się młócka cepami w stodole. Na szczęście z pomocą sąsiadów udało się zebrać ziemiaki z pola. Jedna krowka obdarowywała mlekiem całą rodzinę, a na więcej krów nie starczyło płodów rolnych. Tego mleka na szczęście starczyło na śmietanę i ubicia oselki masła. Julek miał niespożyte siły do pracy, do której nie był dotychczas przyzwyczajony. Rodzina, zarówno Juliana jak i jego żony wyjeżdżając, pozostawiła beztrosko domy pod jego opieką. Ileż to trosk i utraty zdrowia kosztowało, aby nie dopuścić do dewastacji budynków, zajętych teraz przez nowych lokatorów. Niszczenie domów przez nowych lokatorów, czy kradzieże drzew z lasu, stały się normalnością. Długo to trwało nim Julian w imieniu dawnych właścicieli uporządkował sprawy majątkowe.

Rodzina Juliana, skromna, choć mieszkała z dala od centrum Zelowa, miała swoich wypróbowanych przyjaciół. W niedzielę i święta odwiedzali się wzajemnie, doradzali sobie w trud-

nych sprawach, śpiewali czeskie piosenki. Wśród pamiątkowych zdjęć, które Amalia skrzętnie przechowywała, utrwalone zostały między innymi rodziny: Emila Swobody, Grygrów, Nowaków, Twardych, Kedajów, Matejków i wielu innych. Niewielka grupa ewangelików, która pozostała w Zelowie, własnym kosztem, własnym wkładem pracy, nie pozwoliła na zniszczenie tego, co ich ojcowie pozostawili potomnym, a było tego wiele. Wysoki kościół z usuwającymi się dachówkami, stara i nowa fara do remontu, no i ogrodzenie wielkiego cmentarza. Julian wychowany w domu cichej i spokojnej pobożności nie szczędził czasu i sił dla zachowania we względnie dobrym stanie zasobów parafialnych. Przez długie lata, jako prezes Kolegium, służył temu Kościołowi, jak najlepiej potrafił. Po latach dopiero można ocenić, jak niebezpieczna była wymiana dachówek na kościele, bez żadnego sprzętu budowlanego, bez żadnego zabezpieczenia, przez kilku oddanych Kościołowi parafian. Podczas obcinania konarów, ze starego drzewa rosnącego na starym cmentarzu przykościelnym, Julian spadł z drzewa. Upadek skończył się ogólnym potłuczeniem, którego skutki jednak Julian odczuwał przez całe dalsze swoje życie. Ileż to wyznawcy Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, starsi wiekiem, znajdują się na cmentarzu, to tyleż to wspominają Juliana, który to wielkie betonowe ogrodzenie budował, przez dwa lub trzy lata, z panem Wesołowskim i Karolem Jersakiem z Zelówka. Potem konserwował i bronił ogrodzenie przed dewastacją. Nie było stałego duchownego w Zborze, nie było komu zadbać i objąć opieką całego tego mienia. To Julian był duszą i sercem nielicznego grona, które dbało o ten skarb Braci Czeskich, wygnańców z ziemi ojczystej.

Trudna sytuacja materialna zmusiła Juliana do wyjazdu na treny zachodniej Polski, do Sarbinowa. Tam założył prowizoryczną gęplarnię i farbiarnię wełny, dla zaspokojenia potrzeb okolicznych mieszkańców. Po dwóch, a może trzech latach powrócił stamtąd do Zelowa i podejmował się różnych prac dorywczych, jak również pracy w zakładach włókienniczych, „na gwizdek fabryczny”. Okropnie nie lubił tej pracy, tak upokarzającej dla niego. Później, już jako emeryt, pomagał córkom w uruchomieniu produkcji narzut dekoracyjnych (tzw. kap) na krosnach żakardowych, w ramach prac usługowych dla spółdzielni rzemieślniczej.

Z żalem spoglądał na zniszczone pomieszczenia fabryczne, konserwował resztki budynku, ale bez skutku. Zakład nigdy już nie wrócił do swojej przedwojennej świetności. Mimo tych trudności Julian zawsze spoglądał z optymizmem w przyszłość. Nigdy i na nikogo nie wypowiedział złego słowa.

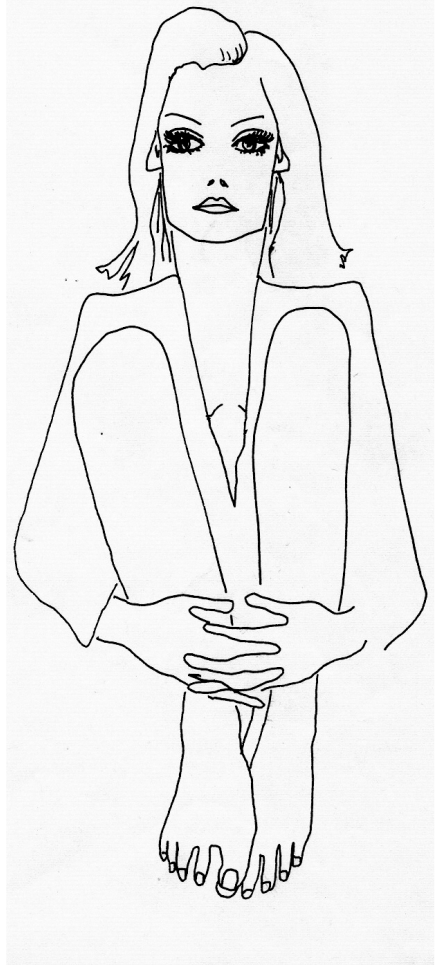
Biskup Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce, podczas uroczystości nadania mu tytułu Honorowego Obywatelstwa miasta Zelowa, w swoim przemówieniu na Rynku, przy-

pomniku Tadeusza Kościuszki, przywołał pamięć swojego nauczyciela Juliana, który nauczył go wyrozumiałości dla innych wyznań i umiejętności współżycia ekumenicznego. To Julian wskazał drogę jaką należy w życiu postępować. Skromny uczestnik wspólnych spotkań mówił:

– My, mieszkańcy małego miasteczka Zelowa, jesteśmy obywatelami różnych wyznań, wzajemnie się potrzebujemy, a w życiu codziennym uczymy się przyjaźni, tolerancji i niesienia pomocy.

Julian często powtarzał swoim dzieciom: „Nikt tego nie wie, jakie zwyczaje, jakie religijne obyczaje i którego kościoła na tej ziemi, znajduję upodobania u Boga. Postępować trzeba tak, aby każdego wierzenia szanować, a wierności swemu Kościołowi dochować”.

Po długich dniach choroby, otoczony opieką żony i córek, dobiegła końca ziemską podróż Juliana 27 stycznia 1985 roku. Skończył się dzień utrapienia. Skromny nagrobek znajduje się na cmentarzu ewangelickim w Zelowie z inskrypcją: „V Bohu jest spaseńi mé a sláva má. Psalm 62”.



Rys. Barbara Medajska

MIROSLAW PISARKIEWICZ

Święty Icek

Samochód zatrzymał się na stoku wzgórza, nad którym górował potężny, neogotycki kościół z czerwonej cegły. Wyniosła wieża powodowała, że wydawał się jeszcze większy. Wysiedli. Ona w sukience podkreślającej jej zgrabną sylwetkę i wspaniałe nogi. On, lekko przygarbiony, ale nadal mający w sobie coś chłopięcego.

– Chodźmy do środka. Może nas wpuści. – Powiedział z uśmiechem. – Jeździli na wiele krótkich wycieczek wokół miasta i często kościoły, czy inne ciekawe miejsca, były zamknięte. Nie wpuszczali. Tym razem było otwarte. Weszli do przestronnego wnętrza świątyni. W kruchcie minęli dwie płyty z nazwiskami kapłanów zmarłych w obozie koncentracyjnym w Dachau. W końcu prawej nawy wmurowany był w ścianę barokowy nagrobek rycerza o nazwisku Olszowski.

– Walerian Olszowski, kasztelan spycymierski. – Odczytał łacińską inskrypcję. – To musiał być dobry rzeźbiarz. Mistrzowskie dzieło. – Stwierdził krótko patrząc na naturalistycznie oddane rysy męczyzny. W lewej nawet uwagę obojga zwrócił wróbel, który niespodziewanie wleciał do wnętrza kościoła, chwilę pokrążył przed głównym ołtarzem i przysiadł na złoczonej ramie potężnego obrazu. – Jaka elegancka kompozycja! – Zdziwiła się. – To barok? – Zapytał, patrząc na ciemne tło i skreconą figurę świętego w niesamowicie złotej aureoli.

– Nie, chyba nie. Te jakieś sosy monachijskie są zbyt współczesne.

– Tak, za świeży jak na barok. – Potwierdził. – I ta neogotycka rama i blejtram. – Pochylił się nad prawym narożnikiem płótna. – O tu, zobacz. Tu musiała być sygnatura, ale ją ktoś zasmarował. Ciekawe, dlaczego?

Wychodząc zatrzymali się w kruchcie przy opisie kościoła.

– Błogosławiony Wincenty Kadłubek. Obraz z XIX wieku autorstwa żydowskiego malarza Aleksandra Lessera.

– Czyli, nie barok. – Pokiwał głową. – Ciekawe skąd się tu wziął? Może z poprzedniego kościoła? Ta budowla wygląda na taką z początku XX wieku.

– Znakomity obraz – powiedziała.

– Znakomity – potwierdził.

Powoli wyszli na zewnątrz i zeszli ze wzgórza do samochodu.

Ksiądz Wągliński stał w ogrodzie i przyglądał się jabłonce, której gałąź wymagała podwiązania. Od strony plebani usłyszał wołanie.

– Pani dziedziczka z Niechmirowa przyjechała do księdza.

– Ciekawe, o co może chodzić starszej Pani. Dziś piątek, nie mogła poczekać do niedzieli i przyjechała specjalnie. Znaczący, coś ważne-

go. – Rozmyślał idąc w stronę plebani.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Witam księdza dobrodzieja. – Ubrana na czarno kobieta stała na ganku podpierając się laską.

– Na wieki wieków. Amen. Niech szanowna Pani pozwoli do środka w moje skromne proggi. – Ksiądz szerokim gestem wskazał drzwi do wnętrza. – Kryspinowo, Kryspinowo! Niech tam Kryspinowa nastawi samowar.

Usiedli przy stole w jadalni.

– Cóż tak niespodzianie sprowadza Panią Olszowską do naszej wioseczki?

– Sen, księżę dobrodzieju, sen.

– Sen? – Zdziwił się ksiądz Wągliński.

– Od kilku nocy spokoju mi nie daje. Widzę syna, Antoniego. Widzę go w tej mrozi Sybiru. Ksiądz pamięta, że był naczelnikiem powiatu w powstaniu w 63. Zesłali mi Antosia. Zesłali. Teraz przychodzi do mnie we śnie. Mówi mi o obrazie, żeby malować, to wróci.

– Jaki obraz?

– On mówi, że z błogosławionym Wincentym. Biskupem, co pisał Kronikę Polski. Tak mi powiada, gdy przychodzi we śnie. Budzę się później i spać nie mogę. Przyjechałam, zatem do księdza dobrodzieja po pomoc. Chcę zamówić taki obraz i powiesić tutaj w kościele, by miał większą moc, jak ludzie się będą modlić do zacnego biskupa. Ach! A Kronika niech wysuwa mu się z dłoni, w stronę ludzi, by ta cała nasza przeszłość do nich opadała. Ku pamięci.

Pani Olszowska wyjęła sporej wielkości woreczek i podała księdzu.

– Tu są pieniądze, księżę dobrodzieju. Niech obraz będzie godny i przez zacnego malarza zrobiony. Mogę liczyć na księdza?

– Tak droga Pani. Postaram się pomóc, ile w mojej mocy będzie. To duża suma. – Zważył woreczek w dłoni.

– Niech obraz będzie godny. Tak bym chciała powrotu syna...

– Stary kościół był ciasny i drewniany. Obecna świątynia parafialna była budowana w latach 1912-1925, przez ks. kan. Mikołaja Rełkowskiego i parafian oczywiście. Konsekrował go 25 września 1932 roku Ordynariusz Włocławski – ksiądz biskup Karol Radoński. Niech ksiądz popatrzy na ten obraz – malował go Aleksander Lesser. – Proboszcz oprowadzał nowego Wikarego po swoim królestwie.

– A kim był Lesser?

– A, to ciekawa postać! – Proboszcz uciekł się z pytania. – To znakomity malarz. Kończył studia w Warszawie, Dreźnie i Wiedniu. Członek Akademii Umiejętności w Krakowie! Współzałożyciel Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych! – Z podnieceniem opowiadał Proboszcz. – Malarz historyczny.

– Nie słyszałem...

– Wykonał wizerunki królów Polski! Król Szwecji Karol XV nadał mu złoty medal, a król saski Jan Wettyn pierścień brylantowy!

– Oooo!?! – Zdziwił się Wikary.

– Lesser opracował ilustracje do dzieł Adama Mickiewicza i Antoniego Malczewskiego. Po śmierci w 1884 w Krakowie, został pochowany na cmentarzu żydowskim przy ulicy Okopowej w Warszawie.

– To on był Żydem?

– Tak, synem Leviego Lessera. Księdzu to przeskadza?

– Nie! Boże broń!! Nie wiedziałem tylko, że Żydzi malowali obrazy do kościołów.

– Wielu. To dobrzy artyści. To płótno ma w sobie jakąś szczególną urodę. Ta twarz biskupa w aureoli. Niezwykła. I oczy takie gorejące. Jeszcze do starego kościółka go namalowano. Podobno zamówiła go matka powstańca zesłanego na Sybir. W intencji powrotu.

– Wrócił?

– Nie... Mówią, że snił się matce, dlatego zamówiła obraz, ale już wtedy nie żył.

Lesser szedł zamyślony ulicą Długą. Minął znajdujący się pod numerem 521 „kantor stręczeń guwernerów i guwernantek, nauczycieli, metrów muzyki i tańców, korrepetytatorów, osób do towarzystwa dam, bon” prowadzony przez panią Zwolińską. Dotarł pod 550, gdzie działał zakład litograficzny i fotograficzny Maksymiliana Fajansa, w którym wykonywano artystyczne portrety, rysunki i bilety wizytowe. Wpadł do pracowni Fajansa, jak to robił często. Zнали się. Malarz był Żydem, a Fajans Żydem z Sieradza. Często współpracowali razem. Zresztą, mógł tu spotkać Tytusa Maleszewskiego i porozmawiać o sztuce i o Paryżu. Kiedyś był tu nawet Napoleon Orda, dla którego mistrz Maksymilian wykonywał odbitki litograficzne do albumu z widokami historycznymi Polski. Tu była sztuka. Lubił to miejsce, a i z Fajanssem dobrze mu się rozmawiało.

– Witaj Aleksandrze. – Fajans uściśnął dłoń Lessera. Dobrze cię widzieć. Myślałem właśnie o tobie. Tytus był u rodziny w Sieradzu i tam ksiądz Wągliński ze Stolca go dopadł. To taka wioska w Ziemi Sieradzkiej. – Wyjaśnił dziwną nazwę. – Zlecenie ma na obraz z błogosławionym Wincentym Kadłubkiem. Tytus nie może, ale obiecał, że znajdzie kogoś. Pomyśleliśmy o tobie.

Ksiądz Wągliński chwilę kręcił nosem, na wieść o żydowskim pochodzeniu artysty.

(Dokończenie na stronie 10)

Święty Icek

(Dokończenie ze strony 9)

Maleszewski przekonał go jednak, że to przecież bardzo polski i znakomitej renomy europejskiej artysta. Z królewskimi rekomendacjami!

Lesser dostał zamówienie, gdy ksiądz obejrzał wizerunki władców Polski, które wyszły spod ręki rekomendowanego malarza.

– Starsza Pani zmarła krótko po jego zamówieniu. – Tłumaczył ksiądz historię z obrazem. – Serce jej pękło, gdy dostała oficjalne zawiadomienie o śmierci syna.

Ksiądz Wągliński opowiadał artyście, że postanowił, że mimo wszystko musi spełnić jej wolę.

– Świętej pamięci pani Olszowska wybaczy mi, jeśli obraz będzie dobry. – Rzekł do Maleszewskiego.

– Będzie znakomity. – Zaręczył za kolegę Maleszewski.

– Oby jak najszybciej zawisł w kościele. Może to przywróci spokój duszy matki i syna.

Lesser przyjął zamówienie, ale bardzo długo szukał modelu. Nie mógł znaleźć nikogo, kto by nadawał się do pozowania do portretu Wincentego Kadłubka. Pewnego dnia wpadł na niego nosiwoda Icek. Często widywał tego człowieka. Dotąd nie zwracał jednak uwagi na ciężko pracującego mężczyznę, który chodził zawsze z pochyloną głową. Słyszał, że żona mu zachorowała. Ledwie starczało mu do tej pory na życie z Sarą i gromadką dzieci, a teraz choroba i lekarstwa. I skąd na to wszystko pieniądze?

– Przepraszam szanownego Pana. – Icek podniósł głowę spoglądając na malarza. – Chyba nie ochlapałem Pana?

– Nie, nie. Nic nie szkodzi. – Odrzekł Aleksander, patrząc zafascynowany na twarz nosiwody. – Jakie oczy! Jakie oczy. – Pomyślał. – Muszę go mieć do obrazu.

– Słuchaj Icek! Nie odchodź – słuchaj!! To przecież nic złego, że posiedzisz w mojej pracowni. Potrzebuję cię.

– Nie, nie! – Icek kręcił głową i wycofywał się rakiem przed malarzem. – Nie, to niedobre. Micwot, rozumiesz, micwot ...

– Icek! Ja wiem, co to micwot. Ty tylko mi pomożesz, a ja ci uczciwie zapłacę. Icek! Pomyśl o dzieciach i Sarze. Posiedzisz parę godzin, a ja tak cię namaluję, że nikt nie pozna. Nie będziesz miał zarostu ani pejsów. Tylko te twoje oczy będzie można rozpoznać, ale ilu ludzi widzi oczy nosiwody? Przyjdź Icek. Przyjdź.

– Malbim. Reb Malbim ... mówił ... czytałem obraz, nie wolno. Malbim, Malbim!! – Jąkał się Icek.

– Icek! Ty nie będziesz się modlił do obrazu. Ty będziesz Icek na obrazie. – Uspokajał go malarz. – To do ciebie będą się modlić, ale... obyś o tym nie wiedział Icek. – Dodał w myśli.

– To jest Maskil, Icek. To jest Maskil. On nie wierzy w Boga. Ja nie wiem, czy on jest jeszcze Żydem. Czytałeś Malbima. Czytałeś. – Kaszel przerwał Sarze. Przez chwilę ciężko oddychała. – Nie wolno Ci Icek. To grzech.

Siedział z opuszczoną głową na skraju łóżka i słuchał żony. Miała rację. Malbim napisał za Rambamem i Chizkunim: „Nie wolno ci zrobić sobie figury, ani żadnego obrazu. Nie jest istotne czy wykonuje się takie podobizny osobiście, czy też nakaże się je komuś wykonać”. A on miał pozować do obrazu. I to takie go ze świętym katolickim! Będzie potępiony. Trafi do szeolu. Może nawet czeka go Gehenna. Ale musi to zrobić. Musi mieć pieniądze na lekarstwa i na jedzenie dla dzieci, musi zapłacić za izbę. – Wybac mi kochana. Wybac – Szeptał Icek gładząc dłoń Sary. – Grzechem są nawet obrazy odbite w wodzie, a ja będę na wieki portretem jakiegoś księdza. Będę bałwochwalcą. – Wybac kochanie. – Pochylił się nad nią i delikatnie pocałował w czoło. – Tate, tate! Opowiedz bajkę – Małeńka Rachela wbiegła i z dziecięcym impetem siadła między rodzicami tuląc się do Sary. – Opowiedz, opowiedz! Sara uśmiechnęła się i kiwnęła głową do męża. Zaczął opowieść:

– Był sobie król imieniem Staś i konwaliowa królewna ...

Mała zasnęła w połowie bajki. – Dobry człowiek z Ciebie. – Sara uśmiechnęła się do męża, który wziął małą w ramiona by położyć ją na noc. – Zrobisz, co będziesz musiał. – Szeptnęła.

Lesser patrzył na skończony obraz. Błogosławiony Wincenty trzymał wielką księgę, która jakby wymykała mu się z drugiej ręki. Zbyt ciężka od wagi spisanych wydarzeń, zbyt ciężka od tych jeszcze nie zapisanych lub, których się nie zapisze, czy nie zapisało. Trudno orzec. Oczy biskupa z jakimś napięciem spoglądają w bok. Nie na księgę i nie na odstawiony pastorał. Wystraszone oczy Icka. Malarz zastanawiał się, czy Kadłubek nie jest zbyt żydowski. Powinien być może grubszy, dostojniejszy. A on jest w jakimś dziwnym skrucie. Wyrwa się z obrazu. Jest w ucieczce. – Oj Icek, Icek. – Szeptał. – Wziął pędzel i zaczął malować złotem aureole, w która wpisał niepostrzeżenie nazwisko i imię Icka po hebrajsku. Zrobił to plamami, których nikt się nie domyśli – nawet, jeśli zna pismo ze zwojów. Icek na obrazie ręką odpychał to wszystko, co się działo. Musiał nakarmić małeństwa i kupić leki dla Sary, ale pozowanie do katolickiego obrazu! Oby się nikt nie dowiedział. Oby się nikt nie dowiedział – mówiła ręka i twarz Icka.

Ksiądz Wągliński przyglądał się gotowemu dziełu, które chłopską furmanką dowiózł od strony Złoczewa jeden z miejscowych. Przywiozł także artystę.

W dziennym świetle ciepłego dnia błogosławiony kronikarz zdawał się wyskakiwać ze złożonej suto ramy. Cudownie lśniła w słońcu aureola.

– Piękny. – Skwitował ksiądz, nie wdając się w szczegóły.

– Cieszę się, że się księdzu podoba. – Odrzekł Lesser.

– Zapraszam Pana do środka. – Ksiądz puścił artystę przodem. – Myślę, że już w najbliższą niedzielę poświęcę go podczas mszy. Niech zdobi kościół i świadczy o miłości rodu Olszowskich do Ojczyzny.

Lesser pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Tylko prosto powieście mi obraz! – Ks. Rełkowski osobiście wybrał miejsce na końcu nawy, od strony Wielkiego Ołtarza. – To Lesser. – Podkreślił dobitnie, jakby majstrowie wiedzieli, kim był autor płótna. – Lesser. Potwórzył dla pamięci.

Gdy skończyli prace, przyglądał się przez jakiś czas dziełu, kontemplując je w nowej przestrzeni.

– Jest dobrze. – Stwierdził do siebie. I po chwili głośno powtórzył czekającym robotnikom. – Jest dobrze.

Młody Wikary stał w oknie plebani i zamysłony patrzył gdzieś w dal.

– Słyszał Ksiądz? Wojna.

– Tak. Zaczęło się Księżę Proboszczu. Oby Bóg miał nas w swojej opiece.

Wojna wtargnęła brutalnie w spokojny świat wsi i miasteczek tej części kraju. Zbombardowano bezbronny Wieluń. Spalono Złoczew. W sieradzkim więzieniu osadzeni umierali dziesiątkami, a setki mordowano. Obraz nadal złościł się w kościele, ale wszyscy modlili się do Jezusa i Przenajświętszej Pani. Mało kto rozmawiał z błogosławionym Wincentym. Choć byli i tacy.

Latem 1942 do Stolca dotarła wieść o likwidacji getta w Sieradzu. Tysiące Żydów zagnano do klasztoru Urszulanek, a po kilku dniach wywieziono. Wszyscy wiedzieli, że na śmierć, gdzieś w okolicy Koła. Na plebani zapanowała szczególna atmosfera.

– Księżę Proboszczu! Trzeba zgłosić Niemcom ten obraz. To żydowski dzieło. Może nam zaszkodzić, jeśli je przemilczymy.

– Niech ksiądz za dużo nie mówi. Słowa są jak kamienie ciśnięte w niebo. Gdy rzucamy je do wody – widać kręgi. Ale na niebie też są kręgi, tylko nie wszyscy je widzą. Nie wszyscy słyszą. – Mówił z pasją Proboszcz nie patrząc na Wikarego. – Księdza interesuje poprawność. Legalizm. Sztuńce na stole – nóż ostrzem do góry, a nie do dołu. Układ widelców i łyżek. To bardzo ważne, prawda? Nie ma legalizmu pod okupacją! To śmierdząca kolaboracja!

A gdzie normalność! – Proboszcz zerwał się od stołu, podszedł do regału i wyciągnął bez zastanowienia mocno zużyty wolumin.

– Niech ksiądz czyta. – Podał Wikaremu otwartą książkę i odszedł na swoje miejsce przy stole.

Wikary spojrzął na podkreślone zadania: „Cóż wiesz o pięknem?...” „...Kształtem jest miłości”

„Bo nie jest światło by pod korcem stało,
Ani sól ziemi do przypraw kuchennych,
Bo piękno na to jest by zachwycało,
Do pracy – praca, by się zmartwychwstało”

– Tak, Norwid ... – Wikary odłożył książkę. – Ma Ksiądz rację, jestem legalistą. Nic poetyckiego. – Powiedział cicho. – Ale, poza tym, może po prostu próbuję jakoś przeżyć tę wojnę?

Napięcie na plebani nie opadało. Zdawało się kipieć, jak woda w garnku na kuchni.

– Ksiądz chce ukrywać Żyda? – Zdenerwowany Wikary miotał się po zakrystii. – Ksiądz wie, że z tego mogą być kłopoty. Powiniśmy zgłosić Lessera.

– Wtedy będzie po nim.

– Jak wenty zgłosimy, to będzie po nas.

Za otwartym oknem usłyszeli oddalający się szelest. Spojrzeli na siebie zaniepokojeni.

– Stało się. – Powiedział Proboszcz.

Wikary kiwnął głową bez słowa. Po chwili wstał i wyszedł.

Kapłani zasiedli do stołu nakrytego białym obrusem. Gospodyni postawiła wazę gorącego rosółu. Nalali sobie złocistego płynu do talerzy wypełnionych makaronem posypanym pietruszką. Nim zaczęli jeść podjechały samochody. Po chwili w drzwiach stanęli Niemcy. Żołnierze rozbiegli się sprawnie po plebani. Przy księżach pojawił się wysoki oficer. Patrzył jakiś czas w milczeniu na obu księży i na talerze z zupą. Świat się zatrzymał w przyjaznej woni rosółu.

– Absurdalne. – Pomyślał Proboszcz patrząc na wazę i refleksy słońca radośnie igrającego na sztućcach.

– Tu się ukrywa Żyda. – Powiedział Niemiec. – Gdzie?

– Nie ukrywamy nikogo. – Spokojnie odrzekł Proboszcz.

– Zobaczmy. – Odparł oficer. – Swobodnie usiadł przy stole i zaczął obserwować mężczyzn.

Po kilkunastu minutach wszedł podoficer.

– Tu nie znaleźliśmy nic. – Zameldował.

– W takim razie przejdziemy do kościoła.

– Talerz z rosółem. Wystygnie. – Pomyślał Proboszcz. – Talerz z rosółem jak aureola.

Wszyscy wstali od stołu i poszli do świątyni. Wikary otworzył drzwi. Niemcy zaczęli przeszukiwać wnętrze. Kilku udało się na

wieźć, reszta systematycznie przetrząsała kościół.

– Ładny obraz, kto go namalował? – Zapytał oficer zatrzymując się przed płótnem Lessera.

– Nie wiadomo. – Powiedział Wikary.

– Ktoś z Monachium. – Rzekł Proboszcz.

– Zamazana sygnatura. – Zauważył oficer pochylając się przy obrazie. Interesujące. – Czyli to niemiecki obraz? – Odwrócił się do Proboszcza.

– Autor podobno studiował w Monachium. Umknęło mi nazwisko.

– Tu także nikogo nie ma. – Ten sam podoficer stanął przed dowódcą i czekał na dalsze rozkazy.

– Cóż... Ciekawy obraz. Widać wpływy kultury niemieckiej. Popatrz na księży. – Obraz zostaje, a Panowie udadzą się z nami.

– Dlaczego Ksiądz to zrobił? – spytał Proboszcz.

– Chciałem choć uratować ten obraz ... Ksiądz sam opowiadał mi, że nawet Judaizm naucza, że „jeśli człowiek niszczy jedno życie, to jest tak, jak gdyby zniszczył cały świat. A jeśli człowiek ratuje jedno życie, to jest tak, jak gdyby uratował cały świat”. Czytałem Talmud Babiloński. Fragmenty. Nie chciałem skazać Lessera na śmierć. Rozumie Proboszcz... trochę poezji. – Wikary zakaszał. Oddychał ciężko. Po jakimś czasie oddech mu się wyrównał i uspokoił. Wyglądało, że zasnął.

Proboszcz patrzył na jego wyniszczona i poszarzała od choroby twarz. Rozmyślał przez czas jakiś o młodym Wikarym, zamazanej sygnaturze i Lesserze.

– Nie żyje. – Wyrwał go z zamyślenia czyjś głos.

Proboszcz otrząsnął się z zamyślenia. Złapał Wikarego za rękę. – Nie żyje. – Powtórzył bezwiednie. – Osunął się na kolana. – Wieczne odpoczywanie... – Modlił się gorąco i płakał.

– Biskup Kozal! – Zdziwił się Proboszcz. – Biskup też w obozie?

– O, Ksiądz Proboszcz. Widzę, że jest tu wielu znajomych. Za co Księdza zabrano?

– To skomplikowane ...

– Tak? – Zachęcił Proboszcza do zwierzeń.

– Ktoś doniósł, że ukrywamy Żyda w kościele.

– Ukrywał Ksiądz Żyda?

– Nie, tylko nie zgłosiłem obrazu Lessera.

– Ach! Tego żydowskiego malarza.

– Tak. Widzę, że się Ksiądz Biskup świetnie orientuje.

– Trochę interesowałem się sztuką. I jak się potoczyła ta historia?

– Niemcy zrobili rewizję. Żyda nie znaleźli, ale nas zabrali. Wikarego i mnie. Całkowicie głupia sytuacja – wychodzi na to, że trafiliśmy tu przez obraz.

– A Niemcy wiedzieli, że chodzi o obraz, a nie o człowieka?

– Chyba nie ...

– W takim razie jest tu ksiądz za ratowanie

ludzkiego życia, a kto ratuje ludzkie życie... – zawiesił głos. – Sztuka jest miarą człowieczeństwa. Bez sztuki ludzie są zwykłymi bytami zwierzęcymi. Ratowanie obrazu jest równie ważne jak ratowanie człowieka. A Niemcy myśleli, że chodzi o człowieka.

– Wikary zmarł tutaj kilka dni temu.

– Trzeba się modlić. I niech Ksiądz pamięta, że nie chodzi tu ani o sztukę, ani ratowanie ludzi. Oni walczą z religią. Ksiądz się rozejrzy. Są nas tu setki. Za nic konkretnego. A naprawdę za wiarę. – Biskup ścisnął przyjaźnie ramię Proboszczowi i odszedł.

Przez stłuczoną szybą wleciał do kościoła ptaszek. Kołował pod stropem, później lawirował między filarami. Przysiadł na epitafium Olszowskiego, pokręcił się trochę, przefrunął i zatrzymał na ramie obrazu Lessera. Coś tam marudził, czy śpiewał sobie po ptasiemu. Błogosławiony Wincenty Kadłubek oczami Icka przyglądał mu się spod aureoli. Światło rozświetlało drobinki kurzu unoszące się w powietrzu wyciszony świątyni, a ptak napelniał ją delikatnym dźwiękiem.

– Biskup Kozal zabity. – Ksiądz Stanisław pochylił się nad Proboszczem.

– Jak?

– Gdy zabrali go ze szpitalika, to wstrzyknęli mu fenol.

– Ja też umieram. To już długo nie potrwa. Piekielny tyfus.

– Będę się modlił za księdza ...

Proboszcz majaczył w gorączce. Półprzytomny widział twarz księdza Stanisława, ale nakładały mu się na nią rysy Wikarego. – Niech mi Ksiądz wybaczy. Biskup Kozal... wiem miał rację. Niemcy i tak by nas ...Ale niech mi Ksiądz... – Kaszłał, twarz wykrzywił mu ból. Przed zamkniętymi teraz oczami przesunął się obraz stołeckich pół widzianych z kościelnego wzgórze, odległego lasu na horyzoncie. Po chwili wszystko przesłoniła twarz Icka z obrazu Lessera rozświetlona aureolą. – Święty, święty. – Wyszeptał spierzchniętymi wargami. – Aureola ... jak talerz rosółu.



Rys. Barbara Medajska

Zamyślenia



**Korespondencja
własna z Węgier**

Tyle wyciągniętych dłoni...

*...Stoimy na granicy
Wyciągamy ręce
Wielki sznur z powietrza
Wiążemy bracia dla was*

Zbigniew Herbert

Wtedy był rok 1956 i ofiarowana krew polska dla walczącego Budapesztu. Na długo przed Herbertem na Węgrzech tamtejsi poeci czułym sercem ogarniali naszą uciemiężoną ojczyznę. Historia Madziarów o Polaków to odpoczywająca tkliwość i braterska solidarność w chwilach zagrożenia. Poeta György Gomon pisał: „Wszyscy Węgrzy pochodzą z nami, pójdziemy za Polakami...”. I takie właśnie braterstwo winno być przykładem dla innych, europejskich narodów. A wszystko zaczęło się 15 marca 1848 roku w Peszcie, zwyczajnie – na schodach, gdzie dziś mieści się Muzeum Narodowe (Nemseti Múzeum). To właśnie tu na wiadomość o rewolucjach w Paryżu i Wiedniu, Sandor Petofi sformułował swoje „12 żądań”.

Rozpoczęła się węgierska powstanie antyhabsburskie. Europejska Wiosna Ludów. Węgrzy, piękny i dumny naród, doprowadził do wyzwolenia kraju spod panowania Cesarstwa Austriackiego. Na Węgrzech powołany został parlament i niezależny od Austrii rząd. Na jego czele stanął Lajos Kossuth. To, co wydarzyło się u Węgrów, znalazło uznanie w oczach polskiego rządu narodowego na emigracji, który poparł przewrót. Teraz, kiedy stoję na tych schodach w płomieniach tysięcy flag węgierskich i polskich, kiedy słucham smutnego w swym muzycznym brzmieniu hymnu węgierskiego oraz poezji Sandora Petofiego w recytacji Matę Huboczky, mam w oczach łzy wzruszenia. I nie tylko ja, bowiem przyjechało nas Polaków do stolicy Węgier grubo ponad trzy tysiące, aby uczcić Święto Narodowe naszych przyjaciół. Piękny, marcowy dzień, może taki, jak przed 164 laty, kiedy w walce z zaborcą, ramie w ramie z Węgrami, walczył trzytysięczny legion polski pod wodzą gen. Józefa Wysockiego. Polska i Węgry szarpały się na żelaznym łańcuchu zaborczej uwięzi, skuci ze sobą jak skazańcy. Poeta powie: „Im bardziej się buntują, tym głębsze rany

złobi braterska miłość w ich ciele”. Stoję więc na tych schodach, trzymając tablicę z napisem w obu językach, stoję i mam zalaną krtani i zduszone gardło jak wszyscy zresztą zgromadzeni tu ludzie. Za chwilę z peszteńskiej części miasta, po wspólnym wiecu przyjaźni, ruszymy w pochodzie na Górę Zamkową na plac Disztér. Las sztandarów, transparentów i bander. Po drodze tabloidy przekazujące telewizyjny przekaz i niezliczone tłumy gospodarzy oklaskujących rozciągniętą, polską grupę. Są też Litwini, Słowacy. Idziemy ulicami, które przeżyli rewolucjoniści XIX wieku sławnej Wiosny Ludów.

Na początku 1849 roku naczelnym dowódcą wojsk węgierskich zostaje gen. Henryk Dembiński, zaś od sierpnia tegoż roku naczelnym wodzem armii był Józef Bem, którego pomnik jest w Budapeszcie. Niestety, ale rewolucja upadła, kiedy to z odsieczą Austriakom na ziemię węgierską wkroczyła 200-tysięczna armia rosyjska. Obok flag polskich i węgierskich, widziałem flagi innych narodowości, bo to był „dzień wojowników o prawdziwą wolność”, nie tę narzuconą narodom. Uroczystości zresztą przebiegały pod hasłem: „Chwała odwajnym”. Nic dziwnego, bo naród węgierski jest politycznym i intelektualnym spadkobiercą roku 1848. „Na Boga Węgrów przysięgamy, przysięgamy, że już więcej nie będziemy niewolnikami!”. To znów słowa poety Sándora Petöfiego. Czy zbliża się czas wolnych narodów, nowa Wiosna Ludów? Stara Europa i ta niby nowa, zglobalizowana. Stara Europa jest tam, gdzie żyją starzy przyjaciele, gdzie słowa przyjaźni i patriotyzm oraz solidarność rzeczywiście coś znaczą. Bo to unia serc, a nie partykularnych interesów bogatych. Dumni ze swojej historii, mamy owe ideały w sercach, gdyż nie wypieramy się swoich chrześcijańskich korzeni.

Z Węgrami łączą nas wspólne, historyczne doświadczenia w walce właśnie o wolność i tradycyjne wartości. Węgiersko-polska wiosna w Budapeszcie. Historyczne doświadczenia od pokoleń, bo to św. Kinga, król Ludwik Węgierski, św. Jadwiga, Władysław Warneńczyk, Władysław Jagiełło, Barbara Zápolya, Stefan Batory, generał Józef Bem. Polscy Bemowie, widzę napis na transparencie. I te inne: Polska – bratanki. Dziękujemy, Polsko! Niech Bóg błogosławi Polskę, że jest z nami jak w 1848 roku. Za wolność waszą i naszą!”. To słowa męża stanu, który czuje swoim sercem wspólnotę z własnym narodem i nie pozwolił nim gardzić i go upokarzać, Viktora Orbana. Duma narodowa i patriotyzm odpowiada mentalności większości Węgrów, nawet tym nie zainteresowanych polityką. Razem wyrwaliśmy się z szarej strefy postsowieckich uwikłań.

Dziś naród węgierski, jeżeli znalazł się na liście zagrożeń UE, to nie z powodów ekonomicznych, ale właśnie politycznych. W trudnych warunkach kryzysu gospodarczego Węgry budują państwo, z którego będzie dumny każdy Węgier. A my? W tym dniu nie bardzo widziałbym delegację polskiego rządu na ulicach Budapesztu. I nie da się opisać tylu wzruszeń. Tu było się dumnym nad wyraz, że jesteś Polakiem. Widziałem Węgrów całujących naszą, polską flagę, łzy w tyłu oczach,

tylę wyciągniętych przyjaźnie dłoni do braterskiego uścisku. Na Placu Széchenyi powitanie bochnem chleba przepasanym narodową wstęgą. Huzarzy węgierscy na koniach wraz z orkiestrą, wiodą ogromną kolumnę marszową. Tańce, śpiewy, radosne uśmiechy, podarunki serdecznych gestów i drobnych, pamiątkowych przedmiotów wciskanych do rąk.

Tak, zacerpiałem tu powietrza, którego brakowało mi na emigracji i we własnym kraju, kiedy wróciłem tu z nadzieją, że wszystko idzie ku dobremu. Dopiero w Budapeszcie usłyszałem „Boże, coś Polskę”, śpiewaną przez braci Węgrów. I tę ich pieśń „Lajos Kossuth wzywa nas” („Kossuth Lajos azt uzenete”). „Boże, pobłogosław Węgrów” – tak zaczyna się tekst nowej konstytucji węgierskiej. A pod parlamentem ponad 200-tysięczny tłum entuzjastycznie reagujący na przemówienie swojego premiera. Viktor Orban podąża własnym śladem, prowadząc Węgry nowym, niezależnym od nikogo szlakiem”. Nie będziemy krajem kolonialnym. Sami będziemy decydowali o naszej przyszłości. Domagamy się równego traktowania w Europie”. Węgry czekały na takiego męża stanu całej osiem lat. Orban wie, że do zwycięstwa będzie potrzeba wiele odwagi i siły, aby osamotniony kraj liczył się na arenie międzynarodowej. Czy będziemy świadkami i uczestnikami nowej Wiosny Ludów? Polak, Węgier, dwa bratanki (Lengyel-Magyar, két jó barát). Historyczna przeszłość wiąże nas odwagą, przyjaźnią i zrozumieniem, którym to cechom siłą daje solidarność. Jesteśmy razem raz jeszcze w czasach trudnych. Nie mamy dziś wspólnych granic, ale mamy wspólne cele w odradzającej się chrześcijańskiej Europie. I oby spełniły się wspólne marzenia i nadzieje, czego na czas Wielkanocny życzymy Węgrom i sobie.

KAZIMIERZ IVOSSE



Rys. Barbara Medajski

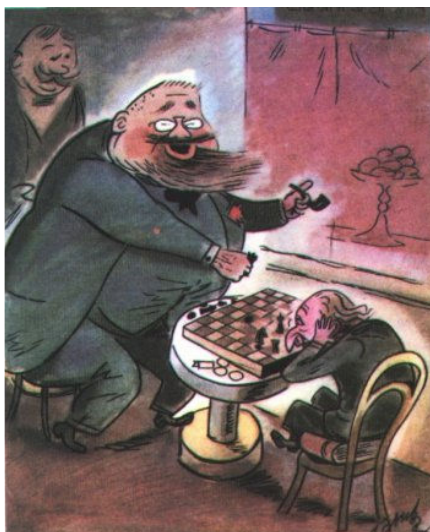
BADŹ CO BADŹ



IGOR WIECZOREK

Największy sekret Pana Kleksa

Prawie wszystkie polskie dzieci wiedzą o tym, że profesor Ambroży Kleks był niezwykle tajemniczą postacią, ale tylko nieliczni dorośli krytycy literatury skłonni są podejrzewać, że jego największym sekretem był duch Franciszka Fiszera. Owi krytycy twierdzą, że to właśnie Franciszek Fiszer w latach międzywojennych zainspirował Jana Brzechwę do stworzenia postaci Ambrożego Kleksa, a Jan Brzechwa podjął tę inspirację i w latach drugiej wojny światowej nadał Panu Kleksowi wiele fizycznych i psychicznych cech Franciszka Fiszera. Chodzi o takie cechy jak długa rozwichrzona broda, małe złośliwe oczka, beztrocki stosunek do życia, wybujała fantazja i paranormalne zdolności. Te paranormalne zdolności zasługują na szczególną uwagę.



Jak wiadomo, Pan Kleks potrafił czytać w myślach, zmieniać rozmiary przedmiotów i wysyłać swoje prawe oko w bardzo dalekie podróże. Chociaż Franciszek Fiszer niczego

takiego robić nie potrafił, to jednak jego charyzma i osobliwy życiorys mogą budzić szczerze zdziwienie.

Jak to właściwie możliwe, że ten rubaszny utracjusz, knajpiany facecjonista, który nigdy w życiu nie zhańbił się żadną pracą i nie pozostawił po sobie ani jednej zapisanej kartki papieru, robił tak dobre wrażenie na tak wielu wybitnych poetach? Odpowiedzi na to pytanie warto szukać w Akademii Pana Kleksa. Proza życia wymaga poezji, która bez prozy jest fikcją, a Pan Kleks jest postacią fikcyjną, która w wyobraźni swoich uczniów staje się całkiem realna. To dziwne sprzężenie zwrotne obejmuje swoim zasięgiem również Franciszka Fiszera, który przez całe życie wątpił w istnienie bytu, ale nigdy nie zwątpił w twórczą aktywność umysłu.

Ten ekscentryczny myśliciel cały swój światopogląd wyraził w zwięzłej formule: *Bytu nie ma!*

Wiele źródeł podaje, że na pytanie rozmówcy: *A co w takim razie jest?* Fiszer odpowiadał niezmiennie: *Wszystko inne. Pan, ja nasza rozmowa, Pańskie wiersze, twórczość. Ale bytu nie ma!*

W znakomitym eseju pt: *Franciszek Fiszer jako filozof* jego bliski przyjaciel i niezapomniany pisarz, Kazimierz Bleszyński, wspomina, że *większość słuchaczy Fiszera brała te słowa za jego kolejny paradoksalny dowcip. A tymczasem była to tylko metafizyczna konsekwencja teoretyczno-poznawczego idealizmu Fiszera, który w tej krótkiej formule: »Bytu nie ma!« zamykał po prostu całą swoją negację tego środowiska warszawskiego, gdzie się umysłowo dusił. Bo to znaczyło: nie ma – w sensie filozoficznym – waszej przyrodniczej materji czy energii, waszego gotowego, pozytywnego świata, czy zaświata, waszych biernych faktów.*



Tadeusz Boy-Żeleński scharakteryzował Fiszera jako *dzieło sztuki, które on sam skomponował ze swojej osoby*. To tylko częściowa prawda, bowiem Fiszer skomponował dzieło sztuki z kogoś, kim wcale się nie czuł. Nie czuł się ani poetą, ani kawiarnianym dekadentem, ani charyzmatykiem. Czuł się metafizykiem wątpliwym w istnienie bytu, lecz nie wątpliwym w istnienie *wiecznego nurtu twórczości*.

Być może ta trudna wiara znalazła swój pełny wyraz w jego literackiej inkarnacji, jaką jest słynny Pan Kleks? Być może, lecz nie na pewno, bo przecież największe sekrety Pana Kleksa zostały doszczętnie zniszczone przez

mechaniczną lalkę, którą niezyciwy Golarz Filip zamienił w małego chłopca imieniem Alojzy.

Jedno wydaje się pewne – zarówno Franciszek Fiszer, jak i Ambroży Kleks, byli czarodziejami, gardzili akademizmem i przekonywali swych uczniów o wyższości wybujałej wyobraźni nad wyrachowaną kalkulacją. Obaj ponieśli klęskę w świecie zjawisk doczesnych i obaj odnieśli sukces w dziedzinie wiedzy tajemnej. Dwie piękne bliźniacze dusze, które bujają w obłokach i puszczają do nas jakieś niebysłowale śmieszne oko.

Złote buty - bliźniaki

Należę do tych, którzy wierzą, że istniała, istnieje i istnieć będzie zakopiańska Rzeczpospolita! Sprawa wcale nie jest nowym pomysłem, gdyż ma swój historyczny rodowód. Otóż w roku 1918 Jan Kasprowic i Stefan Żeromski byli twórcami tzw. Rzeczypospolitej Zakopiańskiej, sprawującej całkowitą władzę na terenie Zakopanego, półki jej nie przyjęły organy nowo tworzącego się rządu polskiego na gruzach monarchii austriacko-węgierskiej. Pamięć o tym niezwykłym wydarzeniu istnieje w świadomości wszystkich tych, którzy kochają Zakopane i wierzą, że to miejsce pod Giewontem to prawdziwa Rzeczpospolita.

Poświadczają o tym nazwiska wybitnych postaci, których groby na zakopiańskim cmentarzu koło starego kościoła przy ulicy Kościeliskiej. Są tu pochowani m.in.: Ks. Stolarczyk, Chałubiński, Sabala, Witkiewicz, Tetmajer, Orkan, Makuszyński, Kenar.

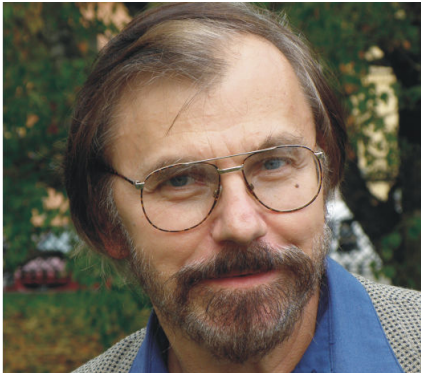
Ale zakopiańska Rzeczpospolita to nie tylko cmentarz zasłużonych, na Pękosowym Brzysku. To także muzea, pośród których, najciekawsze i najznakomitsze, a wielu powodów muzeum-galeria Władysława Hasiora przy ulicy Jagiellońskiej 18b. Artysta był doktorem honoris causa Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Ekspozycję stałą Galerii stanowi około 150 prac: sztandary, kompozycje przestrzenne, rzeźby, assemblages, collages, „przedmioty życia”, „pejzaże eschatologiczne”, „popiersia portrety imaginacyjne”. Hasiór zmarł w 1999 roku, wszystkie swe dzieła zapisał Muzeum Tatrzańskiemu.

Władysław Hasiór wiele podróżował; odwiedził Szwecję, Norwegię (w Szwecji zrealizował rzeźbę „Rydwan skandynawski”). Współpracował z teatrem jako scenograf. Jest autorem oryginalnych pomników i rzeźb plenerowych. W ich konstrukcji ważną rolę odgrywały ogień, woda, dźwięk. Znanicy sztuki podkreślają, że dzieła Władysława Hasiora są uniwersalne.

W galerii (dawnej leżakowni sanatorium „Warszawianka”) szczególną uwagę zwracają buty Hasiora, w których wędrował po Europie. Artysta trzewiki pomalował na złoty kolor. Z tymi butami-bliźniakami dobrze koresponduje taka wypowiedź Hasiora: „Używam materiałów, które znaczą, podszeptują, mają swój sens, dają aforyzm”.

EMIL BIELA

Listy do Pani A. (46)



Maślanka i poezja

Trochę nam czasu z Aldoną Borowicz i Piotrem Duminem upłynęło nad wypełnianiem wniosków o dotację na Warszawską Jesień Poezji. Przychodziliśmy do Związku kilkakrotnie, bawiąc się w biurokratyczne i żmudne wypełnianie rubryk. Ostatnim razem było to nam wynagrodzone, bo oto po południu Andrzej Żor promował swoją bardzo ciekawą książkę „Leopold Kronenberg. Dzieje fortuny”. Wysłuchaliśmy dyskusji panelowej na temat ekonomii i gospodarki XIX wieku, co akurat mnie – jako wielbiciele „Lalki” – bardzo zainteresowało. Poza tym sama postać barona Kronenberga była dla mnie zawsze bardzo ciekawa, bo był to człowiek – w przeciwieństwie do niektórych dzisiejszych biznesmenów – bardzo światły, wspierający sztukę w szerokim zakresie. Mógł wspierać, bo jego fortuna, w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze, wynosiła... trzydzieści miliardów dolarów.

Siedzieliśmy z Aldoną w pierwszym rzędzie, ale trochę z boku, naprzeciwko stolika z pusta-wianymi książkami. Z okładki patrzył na nas pan o bardzo nobliwej, mądrej, nawet pięknej twarzy. Aldona do mnie: „Gdybym wtedy żyła, to bym go podrywała”.

A potem o książce opowiadał Andrzej Żor. W pewnym momencie stwierdził, że Kronenberg był to „pękaty kurdupel na krzywych, krótkich nóżkach”. Spojrzałem znacząco na Aldonę i powiedziałem: „Za te pieniądze...”.

Oboje z Aldoną byliśmy bardzo zadowoleni z wysłuchania dyskusji oraz wystąpienia autora. Potem tradycyjne wino w niezbyt dużych ilościach, jak to na ogół przy tego rodzaju spotkaniach bywa, i pojechaliliśmy do domów, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Kiedy jeszcze w ciągu tego samego dnia trzaskaliśmy się nad wypełnianiem wniosków, w naszej auli odbywało się wręczenie „Orłów Agrobiznesu”. Laureatką została jedna z mleczarni, w związku z czym zasypała wszystkich uczestników i przy okazji nas torbami zawierającymi maślankę i jogurt owocowy. Ponieważ zostało kilka toreb, a nikt ich nie chciał brać, to wziąłem ja, bo bardzo lubię maślankę. Wracałem, dodatkowo i niespodziewanie objuczony. A w ciągu paru dni wypilem wszystko – bezkarnie i bezrewolucyjnie.

Tymczasem zbliża się święto ludzi będących odwrotnością przedsiębiorców – Światowy Dzień Poezji organizowany przez UNESCO i redakcję „Poezji Dzisiaj”. Poeci nigdy nie umieli pomnażać fortun, przynajmniej ich większość. A nawet

zmysł organizacyjny rzadko z talentem idzie w parze, tak jak to jest u Aleksandra Nawrockiego. Od lat jest duszą tego festiwalu, czym wzbudza mój nieklamany podziw.

Preludium ŚDP odbyło się w tym roku w Lublinie w teatrze im. Juliusza Osterwy. Pojechałem więc tam w towarzystwie Juliusza Erazma Bolka. Julek świetnie prowadzi samochód, żadnego lęku nie odczuwałem. Jechał z nami Lam Quang My, ale on tym bardziej mógł nie odczuwać, bo przez większość drogi spał. Wracaliśmy w tym samym składzie powiększonym o młodą poetkę i wokalistkę, Annę Mikulską. Było ciemno. Nie wiem, czy Lam tym razem spał...

Czytaliśmy wiersze, najpierw poeci lubelscy, potem warszawscy. Lam – jak zwykle – śpiewał po wietnamsku. Było bardzo uroczyste, „teatralnie”, dostojnie. I znowu refleksy. Ich światło przesłoniło widowisko. Ale Pani twarz jaśniała intensywniej. Co może wyobraźnia!

Ktoś kiedyś mnie zapytał, czy można się zakochać znając kogoś tylko ze zdjęcia, wymieniając e-mailowe listy. Powiedziałem z pełnym przekonaniem, że tak. Przypomniało mi się to nagle, gdy czytałem wiersze ze sceny lubelskiego teatru w tym oślepiającym blasku jupiterów.

Czytałem z pewną treścią, bo niektóre utwory pochodziły z nowego, przed kilku tygodniami wydanego, tomiku „Studnie Andersena”, w którym jest dużo tekstów bardzo osobistych. Staram się jednak o wszystko jakoś obiektywizować, uniwersalizować, aby każdy mógł w tym znaleźć coś swojego.

Następny „etap” ŚDP to Noc Poetów w Kazuniu. Zawiózł mnie tam swoim samochodem Jacek Bukowski. Było przyjemnie, przyszło sporo ludzi, nawet więcej siedziało na widowni niż na estradzie. Imprezę prowadził Aleksander Nawrocki, mówił dość długo, potem każdego poetę przedstawiał. On lubi długie, solenne „nabożeństwa”. Czytaliśmy po trzy wiersze. Aleksander poprosił na estradę Basię i trzymając ją za rękę powiedział z pamięci swój bardzo piękny wiersz o miłości. A przez mój zepsuty łeb przemknęła myśl, co też takiego Aleksander zbroił, że tak dowartościowuje żonę...

Potem był recital Moniki Lidke z Londynu, która śpiewała własne teksty po polsku i po angielsku, do skomponowanej przez siebie muzyki. Bardzo dobrze to wypadło. Ma ładny, oryginalny głos, i sama też bardzo ładna i efektowna „duża blondyna”. A po „przejsiach” poetyckich na osłodę herbatniki, cukierki i kawa – wypilem kilka filiżanek, aby nie zasnąć.

Podróż w obie strony przebiegła bardzo dobrze, toyotą nowej generacji, a Bukowski świetnie prowadził. Ale w końcu to tylko 35 km w jedną stronę. Pełno w tym samochodzie udogodnień, m.in. strzałka, która „prosi” o zmianę biegów zależnie od obrotów silnika. Nie trzeba patrzeć na obrotomierz czy wsłuchiwać się w pracę motoru. Poza tym jest sterowanie wbudowanym już fabrycznie radiem, za pomocą przycisków na kierownicy. Bezpieczne to i wygodne. I ekranik, na którym widać, co dzieje się za samochodem podczas cofania.

Moje samochody zawsze były stare z wyjątkiem jednego „malucha”. Naliczyłem ich jedenaście, ale żaden staruszek mnie nie zawiodł. Teraz też mam starowinę – nissana micrę z 1991 roku. Mechanik mi powiedział, że to lepszy egzemplarz

niż nowoczesne auta, naszpikowane elektroniką. Zwłaszcza, że ma niewielki przebieg – dopiero ok. 70 tys. kilometrów.

Na drugi dzień po powrocie z Kazunia zadzwonił Nawrocki z prośbą, bym przyszedł na spotkanie z zakopiańską poetką i dziennikarką, redaktorką „Kuriera Podhalańskiego” Beatą Zalot. To też w ramach Światowego Dnia Poezji. Ciekawe wiersze, delikatne, prawie pastelowe.

To były takie preludia Światowego Dnia Poezji. Właściwa inauguracja odbyła się w Muzeum Literatury. Czytałem dwa wiersze ze „Studni”, „Nam wszystkim” oraz „Patrzymy w niebo”. I znowu naszyły mnie różne wątpliwości. Siedziałem, czekając na swoją kolejkę w czytaniu i nerwowo przewracałem kartki tomiku – bo... nic mi się nie podobało. Poczulem wielką niechęć do tych wierszy i do siebie samego. Wreszcie wybrałem „Nam wszystkim”, a „Patrzymy...” na chybił-trafił, bo nie było czasu na zbyt długie wahania.

Od rana siedziałem na krześle – były kolejno: prezentacja każdego z autorów, popisy wokalistek, wiersze uczestników czytane przez aktora, potem prezentacja „Kwartalnika Świątokrzyskiego” przez redaktora naczelnego Staszka Nyczaję i „Miesięcznika” Ryśka Ullickiego. I znowu poetycka szpryca – tym razem wyłącznie zagraniczni.

A po przerwie wszyscy przeszliśmy do „Literatki” – i tam następny maraton. Najpierw się słucha z zainteresowaniem, potem z lekką abominacją (poezja w nadmiarze jest trująca i staje się obrzydliwa), a wreszcie można oszaleć. Wytrzymałem jakoś ten cały dzień.

W małej kawiarence w księgarni Prusa prowadziliśmy wraz z Barbarą Nawrocką spotkanie z laureatem ŚDP, Adamem Siemienińczykiem. Aleksander ku zdziwieniu sali – jeszcze w Muzeum Literatury podczas inauguracji – powiedział, że spotkanie to będzie prowadzić Barbara Jurkowska i Stefan Jurkowski. (Basia, którą wszyscy znają jako Nawrocką, rzeczywiście nazywa się z domu tak jak ja). Widząc to zdziwienie wyjaśniłem głośno z całym spokojem: „To prawda, Barbara jest z przodu Nawrocka, a z tyłu Jurkowska”.

W kawiarence zebrało się raczej niewiele osób, może kilkanaście. Ale zrobiło się kameralnie i poetycko. Powiedziałem o tomiku autora, starałem się mówić krótko, i chyba tak było. Czytał poeta, śpiewała Monika Lidke, było więc czego posłuchać i na co popatrzeć.

Wszystko to trwało ok. półtorej godziny. I zaraz poszedłem do „Literatki”. Trochę jak na ścieżce, bo to już trzeci taki maraton. Znowu czytanie wierszy, bardzo różnych, ale było coś, co mi wynagrodziło męczące siedzenia i... siedzenia... Otóż Aleksander zaprosił Utę Przyboś, która bardzo ciekawie, z dużym wdziękiem i swadą, opowiadała o Julianie Przybosiu. Barwnie, bezprezjonalnie, nazywając go po prostu: tata. Potem znowu prezentacja wierszy. Aleksander w pewnym momencie wywołał mnie, więc chcąc nie chcąc przeczytałem jeden wiersz ze „Studni” (**opowiadał ci o sobie). Bardzo się wszystkim podobał. Kilka osób szepnęło mi na ucho: „powinieneś przeczytać więcej, przynajmniej byłoby tu trochę poezji”. To miłe i podbudowujące „ego”, choć zapewne niezupełnie prawdziwe. Odniosłem wrażenie, że to mówi Pani, tylko specjalnie do mnie –

STEFAN JURKOWSKI

Rozmyślania



„Powiedz mi, powiedz” ...

Nie myślałem, że tegoroczny, bardzo długi kwietniowo-majowy weekend spędzę w Zakopanem. Co prawda już dużo wcześniej moja przyjaciółka, poetka Ewa Bartkowiak (vel Marlena Zyngier), mówiła mi, że szykuje w Harendzie wielkie widowisko z okazji 125. rocznicy urodzin Marii Kasproviczowej, ale do ostatniej chwili nie wiedziałem, czy mój wyjazd dojdzie do skutku. Jednak wszystko ułożyło się doskonale i w niedzielne popołudnie (29 kwietnia) mogłem wyruszyć na Podhale. A że pogoda była wtedy nieprawdopodobnie piękna, podróż od samego początku napawała mnie optymistycznie.

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Ewa Bartkowiak przygotowywała to widowisko kilka miesięcy. A śmiem nawet twierdzić, że rodziło się ono w jej niepokornej duszy znacznie dłużej. Zresztą już wcześniej doskonali (Teatr Witkacego) w stolicy Tatr jednoznacznie ukazywały jej wielką miłość do ludzi i kultury związanej z tym jakże magicznym miejscem, jakim jest Zakopane.

Wszystkie te wydarzenia zaowocowały napisaniem scenariusza widowiska poetycko-muzycznego pt. „Powiedz mi. Powiedz”. Poetka wykorzystwała zapiski z „Dzienników” Marii Kasproviczowej, wiersze Jana Kasprovicza oraz fragmenty prozy Fiodora Dostojewskiego i Stanisława Ignacego Witkiewicza. Widowisko zorganizowano w plenerze, pomiędzy domem Kasproviczów a ich mauzoleum. Jak słusznie zauważył prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Twórczości Kasprovicza, Piotr Kyc, współorganizator tego niezwykle przedsięwzięcia kulturalnego – to było największe wydarzenie ostatnich lat w domu poety na Harendzie.

Marlena Zyngier zaprezentowała się również jako niezwykle poetka, dość mocno związana z minioną epoką dwudziestolecia międzywojennego. Jej wiersze, ubrane w muzykę Dominiki Świą-

tek, podkreślały niezwykłą atmosferę Harendy i były doskonałym uzupełnieniem całości widowiska. Przetłumaczył je na język rosyjski poeta, Aleksiej Karelin.

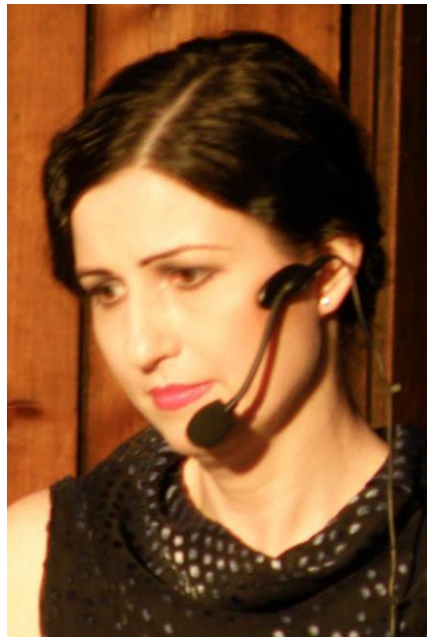


Foto: Andrzej Dębkowski

Marlena Zyngier

Spektakl ukazał rozmowy prowadzone przez Marię i Jana Kasproviczów – w tych rolach aktorki Teatru Witkacego: Adrianna Jerzmanowska i Krzysztof Łakomik. Na scenie wystąpił także Aleksiej Karelin i pisarz polsko-rosyjski, Dmitrij Strelnikoff.

Scenografię przygotował malarz i grafik, absolwent warszawskiej ASP oraz założyciel i właściciel Wyższej Szkoły Artystycznej w Warszawie – Robert Manowski, w której wykorzystał kopie rękopisów Marii Kasproviczowej. Kostiumy zaś zaprojektowała i uszyła poznańska artystka – Daria Kwolek-Kompf.



Foto: Andrzej Dębkowski

Aleksiej Karelin i Adrianna Jerzmanowska

W widowisku wzięli udział artyści z Polski i z Rosji. Wystąpili aktorzy Teatru Witkacego w Zakopanem – Adrianna Jerzmanowska i Krzysztof Łakomik, Teatru Syrena w Warszawie – Beata

Jankowska-Tzimas, gimnazjalistka i chórzystka Alla Polacca przy Teatrze Wielkim w Warszawie – Kamila Bartkowiak, kompozytorka i wokalistka – Dominika Świątek, poeci – Marlena Zyngier i Aleksiej Karelin oraz pisarz polsko-rosyjski – Dmitrij Strelnikoff. Towarzyszyli im muzycy – Jacek Jacków (skrzypek Warszawskiej Opery Kameralnej), Piotr Komorowski (kompozytor, pianista, były dyrygent Warszawskiej Opery Kameralnej) oraz Max Kowalski (basista, założyciel i lider zespołu Max Klezmer Band).

Po widowisku wielu zaproszonych artystów – m.in. Magdalena Abakanowicz, Igor Yelpatow, Malwina de Brade, Krzysztof Michno i Arnold Ananicz – przekazali Muzeum dzieła zainspirowane postacią Marii Kasproviczowej. Ostatnim punktem programu był koncert wokalistki Moniki Lidke.

Zapis fragmentów widowiska dostępny był na płytach CD, z których całkowity dochód zostanie przeznaczony na Muzeum Jana Kasprovicza.



Obraz Stanisława I. Witkiewicza

Maria Kasproviczowa

Maria Kasproviczowa urodziła się 30 kwietnia 1887 roku w Petersburgu. Z pochodzenia była Rosjanką, córką generała carskiego Wiktora Bunina i Marii z domu Anderson. W 1907 roku w czasie podróży do Włoch, dwudziestoletnia Maria Bunin poznała polskiego poetę Jana Kasprovicza. W 1911 roku w Dreźnie wzięli ślub (była jego trzecią żoną). W 1920 roku zamieszkali we Lwowie, trzy lata później przeprowadzili się do Zakopanego na Harendę.

Kasprovicz na Harendzie mieszkał tylko przez trzy lata. Zmarł w 1926 roku. Zgodnie z jego wolą tu został pochowany, najpierw na Pęksowym Brzyzku, potem na Harendzie w grobowcu według projektu Karola Stryjeńskiego. Nad wypełnieniem testamentu poety czuwała jego żona Maria, zwana Marusią. Marusia mieszkała na Harendzie do śmierci. Przez lata podtrzymała tu atmosferę salonu artystyczno-literackiego, który tak wielką rolę odgrywał za życia poety.

Kasproviczowa napisała 29 zeszytów wspomnień, dwadzieścia po rosyjsku i dziewięć po polsku, wydanych pod wspólną nazwą „Dziennik”. Zmarła 12 grudnia 1968 roku. Została pochowana obok swojego męża w mauzoleum na Harendzie.

JÓZEF BARAN

PRZYSTANEK MARZENIE (20)

(FRAGMENTY)



Teraz napisała recenzję o moim tomie esejów i wspomnień pt. *Tragarze wyobraźni* i przeprowadziła ze mną rozmowę na jej temat. Oto jej fragmenty:

– W ostatnich latach wydał pan dziennik *Koncert dla nosorożca* oraz tom wywiadów i wspomnień *Tragarze wyobraźni*. Ciągnie pana do prozy?

– Tak, czytam teraz chętniej prozę od wierszy. Wszystko, co najlepsze w języku polskim jest mi znane, a niestety nie opanowałem języków obcych na tyle, żeby odkrywać nieznaną poetyckie łądy... Ostatnio czytałem np. książki Celine'a – *Podróż do kresu nocy*, *Śmierć na kredyt*. Ktoś powie: Baran tak późno odkrywa Celine'a? Tak, i to jest wspinał się, że obcowanie z niektórymi znakomitymi pisarzami zostało odłożone w czasie i właśnie teraz – gdy jestem już przygotowany do ich smakowania – mogą mi sprawić frajdę intelektualną. Mój przesyty wierszami wynika też pewnie z tego, że od lat redaguję w „Dzienniku Polskim” pocztę literacką i jestem zasypywany płodami wyobraźni początkujących i amatorów.

– Użył pan słowa „odkrywanie”. W książce *Tragarze wyobraźni* jest ono słowem kluczem, cały czas odkrywa pan ludzi – wybitnych twórców, którzy pana fascynują.

– Należę do pokolenia, które fascynowało się mistrzami. Uczylem się wiele od „starych”. Tacy ludzie, jak: Harasymowicz, Nowak, Redliński, Myśliwski, Mrozek, Białoszewski, Sandauer, byli dla mnie – wówczas ich ucznia – czarnoksiężnikami słowa. Czulem się zaszczycony, że chcą ze mną rozmawiać czy nawet przyjaźnić się.

– Dla mnie największą wartością *Tragarzy wyobraźni* jest rozbudzanie ciekawości. Po jej przeczytaniu mam ochotę iść do biblioteki i poszukać opowiadań zapomnianego Jana Rybowicza albo sięgnąć po *Maść na szczury* Bogdana Madeja. Znam tytuł, to była kiedyś popularna książka, ale nigdy jej nie przeczytałam. „Ocalić od zapomnienia” – ta piękna myśl przyświeca panu jako autorowi.

– Tak, poza niekwestionowanymi mistrzami chciałem przypomnieć pisarzy mniej głośniejszych, wartościowych, na przykład Rybowicza, który siedział samotnie w Lisiej Górze i pił „gorzałę” z

tamtejszymi menelami, a równocześnie napisał kilka świetnych zbiorów opowiadań wydanych w dużych wydawnictwach. Nie ma się kto o niego upomnieć, bo nigdy nie istniał w środowisku literackim Warszawy czy Krakowa, wobec tego mało kto go jeszcze pamięta poza mną czy Pilchem, który kiedyś z nim korespondował. Największym jego fanem okazał się Rosjanin Andrzej Bazylewski, który przełożył i wydał w Rosji prawie wszystkie jego utwory prozą i wierszem, oraz Krzysztof Myszkowski, kompozytor i lider Starego Dobrego Małżeństwa, dzięki któremu wiersze Janka odżywają jako piosenki.

– „Ta straszna wrażliwość: Jan Rybowicz” – tak pan zatytułował wspomnienie o nieprzystosowanym do świata samotniku. W *Tragarzach wyobraźni* zapamiętałe śledzi pan ludzkie wybory życiowe. Ludzie chyba bardziej fascynują pana jako dziennikarza niż jako poeetę?

– Jako poeetę też. W końcu „wszystko jest poezją”, jak mawiał Stachura. Poezja to przecież – może nawet przede wszystkim – empatia, współczucie dla drugiego człowieka.

– W książce znajduje się śliczny tekst o wiejskiej poetce Stanisławie Kopiec.

– Ona napisała najlepsze wiersze po śmierci dwudziestoletniego syna. Nie wiadomo, co się stało, czy się utopił, czy go zabili. W każdym razie po śmierci Staszka stworzyła tom trenów matczynych. Niezwykły. O niej też mało kto wie... Niestety nie wszyscy moi ulubieńcy znaleźli się w tej książce. Zabrakło Kapuścińskiego, choć, przynajmniej, znalazły się wywiady z autorami, których twórczością niespecjalnie się zachwyca. Marian Pankowski czy Jerzy Hordyński – to nie są moi literaccy ulubieńcy. Ale rozmowa z nimi okazała się frapująca (...)

– Przyjemność obcowania z *Tragarzami wyobraźni* polegała na tym, że znajdowałam w nich podobne do moich fascynacje literackie.

– Bo jesteśmy prawie z tego samego pokolenia.

– Mam ochotę od nowa czytać Leśmiana, o którym Pan napisał jeden z najlepszych esejów.

– Fantastyczny poeta!

– A człowiek taki sobie.

– Tak, z etyką bywało u niego na bakier, bardziej od etyki kochał łakocie, hazard i kobiety: od kucharek po bardzo wykształcone. Nie był patriotycznym wzorem do naśladowania. Ale jakież tam są w tej poezji kosmiczne mateczniki, jakie gęszcze metafizyczne!

– Trzeba rozdzielać wspinał twórczość od pospolitego życia.

– Dokładnie! Villon siedział w więzieniu, Céline był antysemitą i faszystą.

– Na zakończenie proszę powiedzieć, kiedy opublikuje pan następny tomik?

– Nie wiem. Z pisaniem wierszy jest jak ze snami, których nie można zaprogramować. Jeśli mam okresy pustki, nie pisania, to po prostu gorzej mi się żyje. Teraz właśnie mam taki okres... Nie wiem, czy w ogóle będę jeszcze coś pisał, a może źródło już wyszło na amen?

– Oczywiście, obydwójce w to nie wierzymy.

**„Umarł człowiek, leży dumnie,
w długiej i dębowej trumnie...”**

„Młodzi poeci, którzy pragną ujawnić publicznie swoje próbki talentu – mogą przysłać”

wiersze pod nazwiskiem, inicjałami czy pseudonimem z krótką notą biograficzną na adres redakcji (dopisek na kopercie „Wierszowisko”). Jako redaktor rubryki przyrzekam, że wszystkie listy przeczytam i postaram się oddzielić „kopiętych przez Pegaza” od »uskrzydlonych«.

Ogłoszenie to zamieściłem w 1996 roku na łamach najpopularniejszej gazety krakowskiej „Dziennik Polski”. Od tamtego czasu przewinęło się przez „Wierszowisko” setki piszących wiersze: uczniów, studentów, ludzi w wieku produkcyjnym i starszych; grafomanów i tzw. dobrze zapowiadających się. Niektórzy wydali tomiki, inni zerwali z pisaniem, które było dla nich chwilową przygodą.

W odróżnieniu od moich znakomych krakowskich poprzedników z „Życia Literackiego” Wisławy Szymborskiej i prof. Włodzimierza Maciąga (a przez pewien czas też Marka Sołtysika), którzy redagowali rubrykę anonimowo – postanowiłem występować z otwartą przyłbicą, to znaczy z nazwiskiem. Uznałem, że jeżeli nawet muszę pełnić czasem niewdzięczną rolę kata, nie będę się krył.

W początkowym okresie starałem się, by moje odpowiedzi na listy nie tylko zachęcały do refleksji i opiniowań, lecz były też zabawne. Doprawiałem je żartem i ironią jak niegdysiejsi redaktorzy „Życia Literackiego”, których czytywałem w młodości – zachwycając się finezyjnymi zdankami pełnymi humoru i dowcipnej krytyki w rodzaju: „Jeśli wydrukujemy, prosimy podać aktualny adres Kazimierza Przerwy-Tetmajera, abyśmy mogli wysłać mu osiemdziesiąt procent honorarium autorskiego”, czy „Wszystko na tym świecie niszczy się od stałego użycia, oprócz prawideł gramatycznych. Niechże Pani śmieje z nich korzysta – starczy dla każdego”. Lub: „To prawda, że Eluard nie umiał po polsku, czy jednak przekładając jego wiersze, trzeba to aż tak mocno podkreślać?”. Prowadząc rubrykę w podobnym stylu, mogłem liczyć na czytelników nie tylko z kręgu sympatyków poezji. I rzeczywiście, po jakimś czasie gratulowali mi ciętego, pieprzonego języka ci znajomi, których nigdy nie posadzałem o zainteresowanie literaturą. Zrozumiałem, że podobalo im się nie tyle moje znanstwo, ile raczej to, że komuś dowcipnie „przyłałem”, „przywaliłem”, „przysoliłem”. Ach, jak my to lubimy! To moje odkrycie skłoniło mnie do złagodzenia form wyrażania ocen. Pojąłem, że wyszydząc moich braci mniejszych (i siostry) po piórze, ustawiam się w czasach bezlitosnych dla czystej sztuki po stronie tych, którzy nie czytają wierszy. Bądź co bądź wysmiewałem – może niezdarne i grafomańskie, jednak nacechowane szlachetnością – wysiłki wrażliwości i wyobraźni pragnącej wyrazić ludzkie uczucia i emocje: piękno, zachwyt, cierpienie, ból, samotność, miłość itd. Cóż winni są zakochani w poezji, że ta niewdzięcznica odrzuca ich starania o rękę? Przypomniały mi się męki duchowe, jakie przeżywałem, gdy przed trzydziestu pięciu laty wysłałem do pewnego czasopisma moje opowiadanie, które zostało odrzucone i skrytykowane. Byłem wtedy nauczycielem na prowincji, a moi koledzy z grona nauczycielskiego, zwykle nieczytający tego czasopisma, jak na złość trafili na rubrykę, ba, domyślili się, że to właśnie o mnie mowa.

cdn.

Bajeczno-mityczny pejzaż poety

To już jedenasty tomik poezji krakowskiego poety **Jerzego Stanisława Fronczka**, wydany przez Wydawnictwo MINIATURA, a noszący tytuł „Otulony twoją mgłą. Sonety i kapliczki inspirowane fotografiami Beaty Anny Szymoła”. Otwiera go cytat z Jamesa Douglasa Morrisona: „Wszystko jest mgliste i przyprawia o zawrót głowy. (...) To jest strach i urok bycia pochłoniętym”. Zawiera 51 sonetów oraz 11 utworów poświęconych kapliczkom, które również wyłaniają się ze świata otulonego mgłą.

Fronczek – to poeta wielbiący piękno przyrody, którą od dzieciństwa jest zafascynowany i z którą jest właściwie mistycznie związany pepowiną silnych emocji; jest jej potulnym dzieckiem, które czerpie z niej życiodajne soki. W sonecie otwierającym zbiór pt. „MGIELNY – pierwszy” czytamy: „Jestem twoją Matką Ziemią / jerzy stanisławie fronczku / urodziłam cię z kawałka niebytu / nad mgielną rzeką pełną stalagmitów / z której spadają krople samotności / na prosty stół celtyckiego mnicha”. Podobny druidom, poeta próbuje się zatopić nie tylko w bezkresnym gąszczu przyrody, ale i również cywilizacji miasta, a Matka Ziemia – jak kochająca go miłością macierzyńską kobieta, ukazuje mu się wtedy jak dobra wróżka zmieniająca wokół niego „szary dzień w słoneczny poemat”.

Kolejne wiersze tworzą cykl kontemplacji zamglonych miejsc, z których, jak z niebytu wyłania się świat celtycki, w którym autor czuje się podobny wędrownemu sokołowi, kawałek świata indyjskiego, który przybiera formę kobiety-nirwany, świat „szufłady serca”, w którym „biały Jednoróżec odnalazł mgłą lekką niczym dmuchawiec”, w tle ruin gotyckiego kościoła, ale i krakowskiej dzielnicy Podgórze, gdzie można porozmawiać z samym Bogiem i zobaczyć obok przechodzącą kobietę, kładącą światło na spragnione wargi przechodnia. Wychodząc na przedmieścia Krakowa, poeta próbuje „kryształem serca cerować mgły szal, w którym Dionizos został wykąpany”. Słyszy tam głos dzwonu wynoszący pustkowiu z mgielnej nocy, zaś pod oknami domów obserwuje „zamyślonę wędrującą pejzaż”: „(...) zatopione w ciemności gotyckiego nieba / na dnie którego mgła zasłania wieczność”. W tej mgielnej powłoce, w której zanurzony jest jego świat, z którego wyłaniają się powoli greccy bogowie: Hermes z psem, piękna Afrodyta, kamienne posągi na Wyspach Wielkanocnych, „Moby Dick przepływa ocean rozkoszy”, w cieniach kamiennych drzew wiatr przynosi zapach „dawno utraconego raju / orodzu Edenu”. Spogląda w twarz Księżycy, otoczonego „mgielną poświęcią kosmosu”, po której mknął bez początku i końca komety w „wielkim oceanie ciszy”. Kilka sonetów mgielny Fronczek dedykuje pamięci znakomitym artystom słowa i twórcom „możliwych światów poezji”: Robertowi Frostowi, Sergiuszowi Jesieninowi, wchodząc do ich zamglonych kosmosów, by przypomnieć siłę oraz zasięg ich metafory i wyobraźni. Wszędzie tam odkrywa wartość sonetyczną kobiecości, odbitą przez czas „skrzydłem rybitwy”, kruchą „niczym muszelka” kobiecej stopy odbitej na pisaku. Na wszystko to

poeta zaciąga mgielne metafory pór roku: wiosny, lata, jesieni i zimy, sam zaś w poszukiwaniu wieczności i „dęba pamięci” czuje się jak „zmęczony motyl” pośród „rozbrzykanych gałęzi starego dębu”, na głowę którego spadają ze skały „krople wieczności” przypominając mu, że żyje ciągle „na krawędzi mgielnego bytu”. Wraz ze Zbigniewem Herbertem skierowuj oczy swej duszy ku: „dymiącemu mgłą katyńskiemu lasowi”, który również i dzisiaj otulają mgielne obłoki i przerywana odgłosami spadających liści i kropli dżdżu. Przywołując myśl Laurie Anderson – „Życie powstaje z osobliwego smutku, niepewności, gąbczastych bagien i mgieł nocy...”, buduje tam również kapliczkę we mgle, z nadzieją, że nadejdzie kiedyś dzień „z martwych-wstałych cieni”. Podobne kapliczkę tworzy również wraz z Nikiforem w okolicach Tylicza, ale i z Adamem Zagajewskim we Lwowie. Odwiedza również powstałe z mgły kapliczki za kołem polarnym, powraca do epoki lodowcowej, światów z czasów Odyna i Światowida, by i tam spotkać zarysy mgielnych budowli sakralnych. Wraca wreszcie ku sobie, by jeszcze odwiedzić te małe twory sakralne, wyglądające z tego zamglonego świata na peryferiach miast, i by usłyszeć w nich wiele: „pieśni słowiańskich o pradawnym życiu”, dochodzących „z falami zamyśloną pradoliną Wisły”.

Przedstawiony, choć w wielkim skrócie obraz świata za mgłą, który wydobywa Fronczek w swych kolejnych utworach tego tomiku – to świat niewątpliwie bajeczny, którego jest nie tylko kreatorem, ale i świadkiem. Zostaje on również wzbogacony bohaterami mitów greckich, celtyckich, germańskich, ale i słowiańskich, ułożonych w nowy model narracji, w którym przeszłość, szczególnie ta odległa, wydobywa się z mgły i osiada kroplami rosy na drzewach, górach, kwiatach, polach i łąkach, ale i budowlach odzwierciedlających dzieje naszej cywilizacji. Przeszłość w strukturze tej mitycznej narracji staje się również naszą terażniejszością, wytryska z ogromną mocą z naszej pamięci, stwarzając wrażenie, iż z naszego świata możemy dotykać owego wymiaru wieczności, do którego zmierza krok po kroku artysta.

Wieczność, w stworzonej przez Fronczka wizji poetyckiej, staje się bliska i jako jeden z centralnych przymiotów Boga pozwala poecie w różnych formach istnienia obcować z Nim bezpośrednio, a więc samemu uczestniczyć w tym wiecznym korowodzie (drabinie istnień) podsycanym liryzmem i czułością. Z takim nastawieniem poeta pochyla się nad bytami tego naszego świata, wydobywając je jednocześnie z niebyt, który przysłania owa mgła, znosząca horyzont między bytem świata i jego podstawą – jak sądził Martin Heidegger – czyli jego byciem. Mówiąc jeszcze bardziej wykwiłtynie i uczenie – poeta idąc tropem Hölderlina – staje na skraju horyzontu istnienia, w owym prześwicie, w którym bycie rodzi wszelkie możliwe byty, znosząc jednocześnie nicestwiący charakter upływu czasu, czyli „czasowania się” naszych kolejnych światów. Światy te, dawne i obecne, dane mu są wtedy „jakby zarazem”, zaś bajeczność narracji i struktura mityczna naszego myślenia je uobecnia i w jakiś tajemniczy sposób obiektywizuje, bo stają się dostępne na przysłówowe „wyciągnięcie ręki”!

Ten krakowski poeta, programowo sytuujący siebie jako outsidera środowiska literackiego, stworzył w kolejnych tomikach niepowtarzalny i unikatowy świat, świadczący o niewyczerpalnych pokładach jego wyobraźni, będących wyrazem nietuzinkowego talentu artystycznego. Jako uczeń, ale i czeladnik w młodej grupie poetów, która skupiała się wokół talentu mistrza liryki i sonetu – Jerzego Harasymowicza – w tym ostatnim tomiku dał dowód na to, że klimat i duch wartościowej poezji może przechodzić z pokolenia na pokolenie i skutecznie rozwijać rodzimą kulturę poetycką. Warto zatem skierować swoją uwagę na dorobek twórczy Fronczka, by uczestniczyć w tej międzypokoleniowej sjeście literackiej.

PROF. IGNACY S. FIUT

Jerzy Stanisław Fronczek, „Otulony twoją mgłą”. Sonety i kapliczki inspirowane pracami fotograficznymi Beaty Anny Szymoła, Wydawnictwo MINIATURA, Kraków 2011, s. 80.

Autobiograficzna opowieść

Jestem niepokieszony, że w powszechniejszej kompetencji kulturowej zatraciły się dwa szacowne terminy gatunkowe: Bildungsroman (powieść edukacyjna) oraz Künstlerroman (powieść o artyście). Czulbym się pewnie przy formułowaniu pomysłów czy rozpoznań krytycznoliterackich inspirowanych lekturą książki **Anny Kiesewetter**, gdybym do tych pojęć mógł się odwołać. Jestem – co prawda – dostatecznie wyposażony w inne narzędzia metodologiczne i jakoś sobie poradzę, pozostaje wszakże sentyment do czasów, kiedy różnicowaliśmy na zajęciach z poetyki literackie realizacje wychowania, kształcenia i kształtowania charakteru i przywołana wyżej przeze mnie genologiczna terminologia stosowana była świadomie i chętnie.

Użyłem technicznego określenia „książka” właśnie z powodów, które ujawniłem na wstępie, z wahaniami zamierzonego, z braku odpowiedzi na pytanie, w jakich „konturach gatunkowych” najpewniej poczułby się „Krajobraz romantyczny z księżycem w tle”? Szanujemy w tym miejscu wątpliwości Autorki, która swoją opowieść umieszcza w „rozchwanym polu” zamiarów oraz możliwości: „Czy będzie to książka autobiograficzna? Nie wiem. Za mną są fakty, które przeżyłam i w jakimś stopniu staram się je uporządkować. Na pewno nie będzie to książka ekshibicjonistyczna. Nie lubię się otwierać. Nawet wobec pustych kart papieru”.

Mądra to strategia literacka: dialektyczne zestawianie dwu określeń: „nie wiem” oraz „wiem na pewno”. Cóż robić, muszą po meksku ten kobiecy węzeł aporii przeciąć arbitralnym stwierdzeniem: Jest to opowieść autobiograficzna. Teraz otwieram dla siebie pole dla erudycyjnych popisów. Skoro musiałem zrezygnować z przywołania Bildungsroman, to zrekompensuję sobie stratę obszernym wykładem na temat

(Dokończenie na stronie 17)

Autobiograficzna opowieść

(Dokończenie ze strony 17)

„paktu autobiograficznego”. Proszę się nie obawiać, notacja moja będzie już od tego akapitu zwarta, spójna, może nawet (miejskami) sensowna. Zacytuję wszakże fragment z Philippa Lejeuna, żeby nieco moją arbitralność wygładzić. Cóż znaczy określenie „pakt autobiograficzny”. Jakie muszą zostać spełnione warunki, aby zaistniał i – konsekwentnie – aby wytwór literacki mógł być spokojnie implementowany w to szczególne pole (autobiograficzne)? Oto przydługa kompilacja z myśli francuskiego teoretyka uczyniona.

Z nieznacznymi korektami, definicja autobiografii byłaby taka: *retrospektywna opowieść prozą, gdzie rzeczywista osoba przedstawia swoje życie, akcentując swoje jednostkowe losy, a zwłaszcza dzieje swej osobowości.*

Definicja ta dotyczy elementów należących do czterech różnych kategorii:

1. *Forma językowa:*

a) *opowieść,*

b) *proza.*

2. *Temat: losy jednostki, dzieje osobowości.*

3. *Sytuacja autora: tożsamość autora, (którego nazwisko odsyła do rzeczywistej osoby) z narratorem.*

4. *Status narratora:*

a) *tożsamość narratora z głównym bohaterem,*

b) *retrospektywna wizja opowiadania.*

Autobiografią jest każde dzieło, które spełnia łącznie warunki należące do owych czterech kategorii.

Opowieść Anny Kieseletter te wszystkie wymogi spełnia. Mizerny byłby wszakże nasz domysł krytyczny, gdybyśmy poprzestali tylko na tej konstatacji. W opowieści autobiograficznej istotniejszy jest inny aspekt: antropologiczny. Spotykamy się tu bowiem z Innym (bliźnim), który zamierza przekazać nam informacje o sobie, informacje niekiedy bardzo intymne, zawsze jednak nacechowane asercją (szczerością wypowiedzi). Nasze odwołania do Bildungsroman były zasadne: większość opowieści autobiograficznych ma wyraźny „pouczający” charakter. Poprzez odwołanie się do własnych losów autor pragnie nas ku pewnym wartościom zachęcić, zaś innych doznań – doświadczanych przez niego – radzi unikać. W opowieści Anny Kieseletter ów „edukacyjny” aspekt jest też sprzężony strukturalnie z wypowiedzeniem. Autorka świadomie antycypuje naturalny dla opowieści „rozwojowej” porządek chronologiczny. Ustawiła swój punkt widzenia *a derriere* i z tej pozycji dokonuje oglądu swego stanu: samotności z wyboru, zaś relacje genderowe opatruje socjologicznym komentarzem, w którym „walka płci” jest motywem najważniejszym. Wyznaję, że takie sentencjonalne wstawki narracyjne nieco mnie zdezorientowały. Obawiałem się, że mogą one odwieść potencjalnych czytelników od dalszej lektury. Zapewne nie zachęcą do niej odbiorców, którzy dziś nie przepadają za wtrętami „filozoficznymi”, bowiem kiedyś nie przepadali za opisami przyrody.

Pocieszyła mnie szybko autorefleksja nastę-

pująca: *„Nie chcę pisać książki socjologicznej o wpływie dwóch wojen i komunizmu na kryzys w polskiej rodzinie. Może taka książka powinna powstać, ale nie ja będę jej autorem. Moja książka to historia kilku miłości, może głupich i niedojrzałych, ale bliskich memu sercu. Nie chcę brać udziału w owej ogólnonarodowej dyskusji o pozycji kobiet w społeczeństwie, zrobią to za mnie feministki. Ja tylko pokażę fragment z życia kobiety, która nie poddała się ogólnym presjom. I która zapłaciła za to najwyższą cenę: cenę samotności. Ale też nie do końca ta samotność jest przykra i też nie do końca jest samotnością”.* No i dobrze. Jest lupus in fabula!. Teraz tylko pozostaje znaleźć środek między Dichtung (zmysleniem) i Wahrheit (prawdą) i z opowiedzianych Historii wyluskać strukturową Intrygę. Pamiętamy przecież, że Historii jest milion, zaś ich uporządkowania (Intrygi) są policzalne oraz powtarzalne. W. Propp sędził, że wszystkie opowieści baśniowe kombinowane są z 31 stałych motywów, myśl tę przejęli badacze francuscy – przede wszystkim twórca oryginalnej semiologii A. Greimas. Do dziś jeszcze w badaniach nad tworam narracyjnymi wykorzystujemy słynne czworokąty semiotyczne Greimasa. Najbardziej znany wprowadza zasadę koherencji bądź opozycji, jaka zachodzi w każdej opowieści między jej aktantami (postaciami działającymi): bohaterem, pomocnikiem oraz przeciwnikiem. Wszystkie działania zaś skierowane są na przedmiot (object). Bohaterem – bohaterką w naszej opowieści jest istota płci żeńskiej „w rozwoju”. Poznajemy ją jako dziecko, potem dziewczynkę, nastolatkę, młodą kobietę, kobietę w końcu. Przyznam się, że miałem niefortunny zamysł, iżby – zważywszy na ładny i sympatyczny rys autobiograficzny z młodości autorki wyprowadzony – swoją notkę zatytułować „Spowiedź dziewczęcia wieku”. Na szczęście z tego Mussetowskiego tytułu zrezygnowałem przeznaczając go do „innej bajki”.

Nieoczekiwanie w tym miejscu wprowadziliśmy „przedmiot” semiotycznego czworokąta. To przecież „romantyzm” sygnowany już w tytule („Pejzaż romantyczny”). Dalej było „z księżycem w tle”. Ten księżyc pojawia się przy kolejnych perypetiach, kolejnych mężczyznach, kolejnych miłościach. Nie „miłość” jednak, ale „romantyzm” sygnuje – naszym zdaniem – *Przedmiot* w tym semiotycznym kwadracie.

Miłość może być zawodna, nietwórcza, niszcząca. Romantyczne zaś – to nasza indywidualność, wyodrębnienie osobowości, wierność wartościom czyniona wbrew niesprzyjającym okolicznościom (*Przeciwnikom*). Interesujący jest fakt, że „przeciwnicy” w tym systemie semiotycznym zyskują genderową maskę „żeńskości”. To przecież *Przeciwnikiem* bohaterki oraz jej *Objektu* (romantycznej niepokory) jest najpierw polonistka z liceum a później pani docent z warszawskiej romanistyki. Potem groźniejszą *Przeciwniczką* stanie się Historia związana ze znanym nam polskim kalendarzem politycznym (marzec 1968, sierpień 1980, transformacyjne przemiany lat 90 tych). *Pomocnikami* w „*Krajobrazie*” są mężczyźni: koledzy, miłości, mentorowie, opiekuni. Oczywiście ta kategoria jest jakoś zróżnicowana: niektórzy mężczyźni są nieodpowiedzialni, niektórzy tylko niedojrzali, pozbawieni empatii, niektórzy złośliwi (tych

można pomieścić w aktantycznym polu przeciwników). *Pomocnikiem* najwyraźniejszym jest Yvo. Najpierw jest tu opiekuńczość, odpowiedzialność i trochę mentorstwa (różnica wieku to sprawa), potem miłość oraz erotyczne spełnienie (romantyczny księżyc przemieści się z Francji do Polski), niemal ślub, tragiczny wypadek, śmierć Yva. W podobnej roli (pomocnika) mógłby się znaleźć Edi. Bohaterka odreagowała już traumy, nie dała się chorobom, dzielnie przewalcza niepowodzenia studenckie, jest otwarta na nowe życie, na „romantyczne doświadczenia”, ale Edi zawodzi. Jak to mężczyzna! Autorka zaczyna doceniać pomocników – opiekunów i mentorów. Wcześniej to byli wujowie: Juliusz (Żuławski) oraz wujek Janek (ksiądz). Potem – w czasie studiów w Łodzi – duchowym przewodnikiem stanie się Profesor. Dodam: miałem przyjemność go znać i zaszczyt z nim pracować w jednej katedrze uniwersyteckiej.

W tym miejscu schodzę ze swoich metodologicznych rusztowań. Przepraszam Odbiorców, że musieli zadzierać głowę, żeby mnie dojrzeć. A przecież ja tu jestem mało ważny. Czas zatem zapomnieć o tych (pozornych zawsze) akademickich mądrościach. Czeka nas „przyjemność tekstu”: poznawanie losów dzielnej, niepokornej i mądrej kobiety, którą życie doświadcza boleśnie. Ale owe doświadczenia przetwarzane są w słowa: w „Opowieści celtyckie”, „Ostatni wywiad z tatą”, w „Krajobraz romantyczny z księżycem w tle” w końcu. Nastal teraz czas na lekturę. Zachęcam!

HENRYK PUSTKOWSKI

Anna Kieseletter, „Krajobraz romantyczny z księżycem w tle”. Wydawnictwo Nowy Świat. Warszawa, 2011.

Pejzaż duchowy Danuty P-B

Czasy, chwalić Boga, nie są romantyczne.

W. Szymborska

Pejzaż duchowy – kompozycja poetyckich przestrzeni, w których porusza się autorka „Śladów w mojej wyobraźni”. Otóż wiersze **Danuty Perier-Berskiej** są niekonwencjonalne i tak dalece fantazyjne, że czytelnik zostaje wchłonięty przez magię słów, wizji i nastroju. Poetka chce i – co najistotniejsze – potrafi cieszyć się każdą chwilą i każdą cząstką przebogatej natury. Już pierwszy wiersz w tomiku odsłania znamiennej cechą tej poezji:

w kręgu przeszłości
mała dziewczynka
tańczy swój los

teraz dorosła
tańczy wierszem
na kartce papieru

szczęśliwa

Danuta Perier-Berska jest poetką lirycznego powabu i mistrzynią poetyckiej sztuki. Dlatego, że łączy ze sobą wszystkie symbole świata z wycuciem materii – z umiejętnością

uniwersalizowania i uaktualniania mitów. I tu uwaga – z pełną wdzięku dezynwolturą prowadzi nas w świat bardzo własny, który jest powołany do istnienia mocą wyobraźni budowanej z elementów jawy-snu, poetyckiego zmyslenia i okrucichów tzw. treści kultury masowej:

*jestem drobnią której nadano
kształt człowieka
(...)
w odpowiednim miejscu i czasie
wkomponowanym w tryby wszechświata*

Poetka triumfującej fizjologii i ekspansywnej biologii – w dramatycznym napięciu pomiędzy tym, co nobliwe, wzniosłe – a tym, co przyziemne i wszechobecne – co olśniewająco urodziwe. Słowem – tam, gdzie nie dociera mędrca szkiełko i oko, tam znajduje się poezja. Dużo miejsca w poezji Danuty Perier-Berskiej zajmuje kwestia fascynacji czasem – to zmienność, wieloznaczność – wynik postawy refleksyjnej autorki. Moc przekazać doświadczenia i obserwacje – możliwe uporządkowane, składające się na obraz świata, jakby ułożone z różnobarwnych szkiełek, gdzie tylko czasem nikielmy światłem dociera bunt przeciwko przynaczeniu:

*jestem jedną wielką niewiadomą
(...)
idziemy korytarzami naszych przyzwyczajęń
(...)
jedno z nas odpadnie z gry
drugie zostanie
i też będzie przegrane*

Poezja – to gatunek literacki, który mieści wszystko. Poezja – to lustro, które płynie w czasie i przestrzeni i odbija bezkresną panoramę zmieniającego się nieustannie życia. W poezji spotykają się myśli, dzięki którym ludzkość posuwa się naprzód – i na wół zapomniane okrucy ludzkich wspomnień.

Znalezienie się w konkretnej rzeczywistości – to stawianie sobie pytań, które będą symbolem bliskości życia, a nawet mogą pełnić funkcję poznawczą, bo tak na dobrą sprawę to nie wiadomo – czy człowiek z podniesionym czołem wobec okrutnych wyroków to mało? Po odszukaniu tętna ziemi przychodzi jakby olśnienie – pusta scena wypełnia się falą światła. Wtedy słyszemy siebie jak odpowiadamy na głos przeznaczenia jakby na zasadzie kompensacji. Wydaje się, że problem stary jak świat – znaleźć swoje miejsce na ziemi – zatrzymać czas – uwierzyć, że byt „przejdzie / do wieczności / odrodzi się deszczem / zasilę rzeki jeziora / ugasi czyjeś pragnienie”.

„Przebieg akcji poetyckiej (napisał nieodżałowany K. Gąsiorowski) której doświadczamy podczas czytania wierszy, przypomina film... zrobiony promieniami rentgena. Świat tu widziany jakby na przestrzał. Jest jednocześnie i tym światem, który nas otacza, i tym który nas wypełnia (...) Można więc przypuszczać, że wzruszenie poetyckie stanowi nie wynik, ale cenę naszego porozumienia z wierszem”.

Może dlatego poeci mają trudne zadanie – ponieważ niewiele jest obszarów rzeczywistości, które budziłyby ich zdziwienie, grozi im jakaś wszechalternatywność, poznawczy sceptycyzm – zrutynizowanie werbalne.

Przykładem niech będzie wiersz Szymborskiej „Wielka liczba” w którym to – co poszcze-

gólne, przeciwstawia się wielkiej liczbie, z którą nie może sobie poradzić wyobraźnia.

Danuta Perier-Berska jest poetką, ponieważ myśli obrazami „słowo też jest obrazem – tyle, że zakodowanym w nieco odmienny sposób” (jako malarka zrzeszona w Stowarzyszeniu Plastyków Nieprofesjonalnych Ziemi Krakowskiej). Plastyka wierszy i soczysta zmysłowość bywa niekiedy w stanie unieść nawet dość ryzykowne koncepty:

*rośnię we mnie odwaga gałązki jabłoni
opierająca się burzy czasu
wysłałem z ciebie czuję zapach wiatru
zmieszany z aromatem jabłka*

(„Spełnienie”)

Nie tylko dla tego wiersza (będzie to ważne) zdystansowanie się od samej siebie, by móc ujrzeć się w oczach drugich. Można nazwać to dojrzałością, która bierze się z autentyczności – czyli spojrzenia prawdziwe w oczy.

Lubię poezję trudną, taką w której bilans wkładów i zysku wypada na korzyść czytelnika. Dlatego, że niekiedy najprościej znaczy bardzo niezrozumiale. Jest dla mnie rzeczą jasną, że krakowska poetka zdołała wytworzyć (lub odnaleźć) tyle punktów odniesienia, które na kształt gwiazdozbiorów wyznaczają kierunek poetyckich rejsów. Boga chwalić, że czasy nie są zbyt romantyczne...

Dobrze się jednak stało, że poetka stara się udowodnić, że spod schematów świadomie stosowanej poetyki „kobiecej powinności” wychyla się kształt artystyczny formowany przez poetykę tzw. konkretnej indywidualności twórczej. Najlepsze wiersze tomu są właśnie te tradycyjnie liryczne – mówiące o wewnętrznym niepokoju, ale jednocześnie świeże w obrazowaniu. W których łagodność walczy z bezwzględnością i ostrością – mają w sobie energię eschatologiczną i mitologię pomieszaną z symboliką freudowską. Natura, kultura, cywilizacja. Trzy żywioły miotają się na wszystkie strony świata – i gdzie by zwrócić spojrzenia tam natrafiają na sprzeczności o wysokiej sile ekspresji:

*z ziarna Adama i Iona Ewy
wrosła Magdalena o sarnim spojrzeniu
i grzechu ciężkim jak kamień
jej ciało piękne jak wiosenny poranek
wydane ludziom na pokuszenie
(...)
tylko dusza jak górski kryształ
ukryta pod warstwą człowieczeństwa
wydaje dźwięki nie dla ludzkiego ucha*

Kapitulacja, która jest wielką wygraną poetki i sprzęgniętego z nią człowieka...

Ton wierszy z cyklu „Zatęskniłam za francuskim” – jak sugeruje ich treść – z czasu pobytu autorki m.in. w Burgundii i Paryżu – urzekają zarówno wirtuozerią formalną, jak też nutą uczuciową. Rozmiłowaniem w kulturze francuskiej „gdzie Ogrodów Medycejskich raj”. Znamienny jest styl relacji rodem z poetyckiego snu na jawie. Efekt gry wyobraźni i emocjonalnego napięcia.

Do zobaczenia Danusiu na wzgórzach Montmartre...

ANDRZEJ GNAROWSKI

Danuta Perier-Berska, „Ślad w mojej wyobraźni”. Dom Wydawnictwa Naukowych, Kraków 2011.

Faron wraca do korzeni

Pamięć człowieka jest procesem, który odpowiada za rejestrowanie, przechowywanie, a w końcu za odtwarzanie naszych życiowych doświadczeń, a w końcu za aktywne przetwarzanie różnych informacji, które udało nam się zgromadzić w ciągu całego naszego życia. A ponieważ ślady pozostawione w naszym umyśle są jednak nietrwałe, lepiej jest, kiedy ważne – nie tylko dla nas – informacje, uda się zapisać, zgromadzić w jednym miejscu, ocalić przed bezpowrotnym oddaleniem się w te miejsca naszej podświadomości, skąd ich ponowne wydobywanie na światło dzienne będzie niemożliwe. Tak też postąpił **Bolesław Faron** – profesor, historyk literatury polskiej, krytyk, publicysta, publikując swoją niezwykłą książkę, pt. „Powrót do korzeni. Nowy”. A ponieważ urodził się i wychował w Czarnym Potoku koło Łącka na Sądecczyźnie, miejscu wyjątkowym i niezwykle urokliwym, postanowił opisać to, co po wielu latach wróciło niczym bumerang.

W jednym z wywiadów powiedział: „To miały być teksty do szuflady, teksty bardzo osobiste, w zasadzie nie do opublikowania, pisane raczej z myślą o utrwaleniu tradycji rodzinnej na użytek moich wnuków. Zbieg okoliczności sprawił, że książka się ukazała – m.in. dzięki Tadeuszowi Skoczowski, który najpierw wydał cztery z tych szkiców w postaci małej broszury z okazji mojego jubileuszu, jako niespodziankę i wręczył mi tę książeczkę jako jubileuszowy prezent. Skąd się ta książka wzięła, co powodowało mną, że podjąłem próbę powrotu do korzeni? Na to składały się różne okoliczności – jedną z najważniejszych był mój wiek. Te wspomnienia zacząłem pisać po przekroczeniu pięćdziesiątki. Z upływem czasu częściej powraca się do dzieciństwa i młodości. Książka ta zaczęła się rodzić w niezbyt sympatycznym momencie mojego życia – na początku lat 90., także czy przede wszystkim w tej Uczelni. Doszedłem wówczas do wniosku, że jedyną trwałą wartością, która człowiekowi zostaje, jest dom, jego atmosfera, środowisko, najbliższe otoczenie”.

Właśnie te wartości stały się dla niego bazą i chociaż różne inne wartości czy etapy w rozwoju człowieka po latach mogą ulegać weryfikacji, lata dzieciństwa i lata spędzone na Sądecczyźnie stały się dla pisarza podstawą, która pozwoliła mu pokonywać różne trudności życia.

Jednak podstawowym filarem tych jego różnych doświadczeń jest przede wszystkim matka, najważniejsza postać jego życia. Matka Bolesława Farona w wyjątkowy sposób kierowała jego pierwszymi latami życia. Robiła to w sposób wyjątkowy, niczego nie narzucając. Ten sposób zachowania spowodował, że u Farona uformowała się silna osobowość twórcza i patriotyczna. Faron mówi wprost, że pradiadkowie uczyli dziadków, rodziców, a później jego samego, że miłość, walka, obrona ojczyzny, nauka i praca dla niej jest przejawem

(Dokończenie na stronie 20)

Faron wraca do korzeni

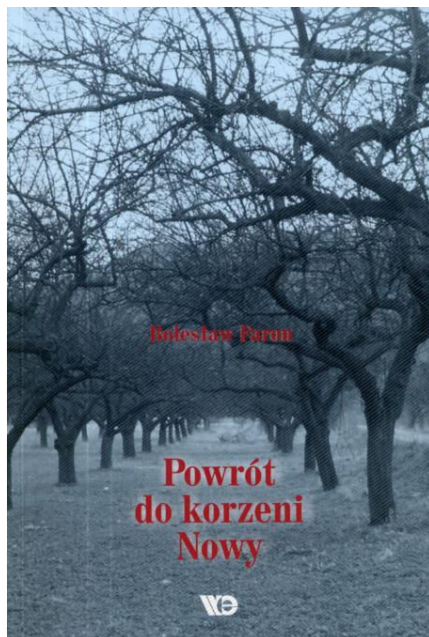
(Dokończenie ze strony 19)

wiary w lepszą przyszłość. Jest oczywistym, że trzonem tradycji w jego rodzinie, jak i w wielu innych polskich domach, była religia, przekazywana z pokolenia na pokolenie. I chociaż autor nie pisze o tym wprost, łatwo można odczytać, że wiara stała się siłą, zbliżającą do siebie ludzi, nawet wtedy, kiedy nie zdawali sobie oni z tego sprawy. Bo przeszłość i tradycja w książce Bolesława Farony mieszają się z teraźniejszością, nadając tym wartościom niepowtarzalny kolor. Oprócz informacji przekazywanych ustnie, istotną rolę zawsze odgrywały u niego materiały źródłowe i archiwalne, którym poświęcił bardzo dużo czasu. One to bowiem powodowały, szerszą płaszczyzną rozważań nad tym, co ważne nie tylko dla samego autora, ale i dla tych ludzi, których losy z taką pieczołowitością Bolesław Faron opisał. A przecież w książce znalazły swoje miejsce wspomnienia dotyczące nie tylko spraw ponadczasowych, historiozoficznych, ale i tych małych, przyziemnych, jak opisy codziennego życia wiejskiego lekarza, fotografa, wspomnienia o miejscowych malarzach, rzeźbiarzach i nauczycielach. To wszystko spowodowało, że kiedy czyta się kolejne stronicie książki, ma się wrażenie, że jesteśmy tam obok tych bohaterów, że stajemy się częścią historii Ziemi Sądeckiej, która tak głęboko wryła się w krwioobiegi Farony, że nie potrafi on już pozbyć się tej miłości, która wyrosła z opowieści jego przodków. A mogło się tak stać tylko wtedy, kiedy ziarno matczynej miłości, zostało rzucone na grunt, dawno ukształtowany przez pokolenia jego przodków. Książka Bolesława Farony, to niekończąca się opowieść o tych miejscach, ludziach i czasach, których już po prostu nie ma, albo definitywnie zaginęły w głębokiej, historycznej przeszłości.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Ta książka nie miałaby takiej siły oddziaływania na czytelnika, gdyby nie język, którym autor się posługuje. Bolesław Faron ocalał od zapomnienia jeszcze coś niezwykle ważnego – piękny język ojczysty. Muszę przyznać, że jest to rzecz rzadko spotykana, szczególnie w dobie rozwoju nowoczesnych form przekazywania informacji. Profesor nie zatracił łączności między światem swoich idei i swoich wyobrażeń o tym świecie a tym, co powoduje, że z taką wielką chęcią i przyjemnością sięgamy po książki, których bohaterami nie są muskularni twarze, uganijający się za roznegliżowanymi panienkami wątpliwych profesji.

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Bolesław Faron, „Powrót do korzeni. Nowy”. Opracowanie redakcyjne: Iwona Dudzińska. Projekt okładki: Monika Ostrowska. Autorzy aneksów: Andrzej Zięba, Piotr Faron, Jan Pieszczechowicz. Korekta: Katarzyna Niemiec. Na I stronie okładki: stary sad w Łącku – fotografia autorstwa Bolesława Farony. Na IV stronie okładki: fotografia autorstwa Andrzeja Waltera. Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2010, s. 262.



Próba odczytania znaków

Najnowszy zbiór krośnieńskiej poetki **Krystyny Kulman** zatytułowany jest „Nocny miot”. Mogą nam nasunąć się skojarzenia z epoką romantyzmu, ponieważ noc była wyjątkową porą, sprzyjała powstawaniu wielu znakomitych dzieł. Odnajdziemy inny element – miotanie się, jako romantyczne szaleństwo; dzięki temu poznamy wnętrze osoby wrażliwej.

Pojawiające się refleksje nad dziełem sztuki, którym jest obraz, luźno nawiązują do „Ballad i Romansów” Adama Mickiewicza, zwłaszcza do ballady pt. „Romantyczność”. Krok pierwszy do jej dokonania to oczyszczenie, do którego jesteśmy zachęceni:

*Wyrzuc z siebie
gwiazdę ogniową
nocnego miotu
białych motyli*

Dzięki niemu ma w nas dokonać się przemiana, w której rozpoczniemy pracę nad samym sobą. Dla podmiotu lirycznego opis przyrody stanowi typologię semantyczną. Uczy nas dostrzegania znaków istniejących w naszym zasięgu.

Według podmiotu lirycznego, pomimo cykliczności wszystko ma swój cel. Dokonuje się zawsze, w momentach najbardziej nieświadomych. Celowość możemy przewidzieć. Zdelimitujemy ją na zamierzoną i niezamierzoną. W nią zostajemy wprowadzeni na samym początku:

*I znowu osobność –
wiatr chmury
goni
przewraca*

Wyobraźmy sobie rozwiewane przez wiatr chmury. Niebo to scena, po której przesuwały się obłoki chmur. W ujęciu symbolicznym będzie prezentowało się inaczej. Wiatr będzie czynnikiem zewnętrznym, który zmusza współczesnego człowieka do wielkiej, nic nieznaczącej gonitwy, rywalizacji itp., gdzie często płaci wysoką cenę.

Często nałożone fizyczne zajęcia, przekraczają jego fizyczne możliwości. Istniejąc w tym wirze pragnie ze swoimi fizycznymi obowiązkami nadążyć, aby nie narazić się na śmieszność otczenia.

Istnieje ciągła potrzeba harmonii czyli uporządkowania, aby wszystko było na swoim miejscu:

*Coś kwili w zaroślach
w drzewach
pomrukuje
a kogut
zaciąga się
porannym śpiewem*

Stara mądrość mówi, że po burzy zawsze niebo jest piękne, bezchmurne, świeci słońce itp., trudno pogodzić się ze zniszczeniami. Z mediów dowiadujemy się, jakie spustoszenia potrafi wywołać burza np. w lesie połamać drzewa. Takie same zniszczenia dokonane są w ludzkim wnętrzu. Minie sporo czasu zanim zostaną naprawione.

Podmiot liryczny pełni rolę przewodnika:

*Pachnie skoszoną trawą
podniebnie
woń przenika do lasu
i mózgu*

Rejestruje w naszym umyśle detale; od wizualizacji po inne zmysły. Przywołany obraz może być wspomnieniem z dzieciństwa. Jego przewodzenie jest bardzo istotne, ponieważ otwiera przed nami bramę do świadomości. Duże znaczenie w jego sposobie przewodzenia odegra Freudyzm, który pomoże przeanalizować ofiarowane znaki.

Odczytajmy własne znaki w tomiku poezji Krystyny Kulman na swój sposób. Aby je zrozumieć należy w nie wnikać, samo wnikanie będzie naszą walką pod osłoną nocy, gdzie ograniczona jest nasza czujność, lub wzbudzona jest nasza aktywność jak u romantycznych poetów.

KRZYSZTOF GRABOŃ



Krystyna Kulman, „Nocny miot”. Wydawca: Stowarzyszenie Literackie Nauczycieli w Krośnie oraz P.U.W. „Roksana” Sp. z o.o., Krosno 2011 s. 33.

Filozofia codziennosci (68)



Nadszedł czas, by zacząć likwidować armie, których sam fakt istnienia stanowi zagrożenie dla pokoju. Okazuje się bowiem, że najtańszym sposobem niszczenia przestarzałego uzbrojenia jest krótkotrwała wojna. A trwa nieustannie doskonalenie sprzętu zbrojeniowego.

Wobec globalizacji

Myśl o zjednoczeniu ludzkości – a więc nie tylko Europy – towarzyszy dziejom przez poszczególne epoki. Stoicy głosili idee braterstwa, Kant stworzył teorię państwa celów, egzystencjaliści wiązali moralność jednostki z poczuciem odpowiedzialności za każdego przedstawiciela ludzkości.

Obecnie faktem staje się łączenie państw położonych na kontynencie europejskim. Paradoks wyraża się w tym, że owej jedności nie towarzyszą równoległe procesy przewyższania niechęci narodowych i religijnych; wywołują wciąż uprzedzenia, agresję, czy wojny. Niestety, nie ideały lecz interesy koncernów, czy grup kapitałowych oraz chęć stworzenia przeciwwagi dla roli mocarstwa, którą pełnią Stany Zjednoczone – leży faktycznie u podstaw Unii Europejskiej.

Europejczyk – to pojęcie wieloznaczne, bo jego desygnatem jest mieszkaniec Europy. A więc może nim być na przykład Arab kultywujący kulturę islamu, agnostyk, jak również człowiek bezwyznaniowy, ateista, czy ktoś fanatycznie przywiązany do któregoś z wyznań chrześcijańskich. Nie ma wyznacznika kulturowego, który by przybliżał określenie „Europejczyk”.

Niewątpliwie tradycja ma głęboką moc scallającą. W tej samej mierze bywa zresztą zniewalającą siłą dla tych, którzy poszukują nowych dróg. Jednoczenie się Europy, to zaledwie wstęp do procesów globalizacji. Nota bene myślą się ci, którzy utożsamiają globalizację z uniwersalizmem. Nie jest możliwe, by powrócił czas jednolitej kulturowo Europy, jak miało to miejsce w średniowieczu, ponieważ funkcjonuje mit demokracji. Dziś procesy jednoczenia się gospodarczego i politycznego znacznie wyprzedzają oczekiwania człowieka przywiązanego do narodowej tradycji. Postulowany w państwach demokratycznych pluralizm światopoglądowy pozostaje w sprzeczności z dążeniem ku ujednoczeniu. Nadal kultywowane są narosłe w historii uprzedzenia.

Tradycja, to za mało, by wytworzyć więzi w sferze duchowej między mieszkańcami Europy. Tradycja ta ma korzenie w kulturze starożytnej

Grecji i Rzymu. Niezbędne są ideały, które wytyczałyby określone cele do spełnienia. Nonsensem byłoby zjednoczenie się ze względu na interesy tych, którzy na tej drodze chcą pomnażać zyski. Zresztą, wracając do tradycji, zaznaczają się dwa odmienne poglądy na wartości, które można by uznać za korzenie kultury wyrosłej w Europie.

Jeden z nich wskazuje na starożytną Grecję i Rzym, a drugi na wartości chrześcijańskie. Ale one nie zespoliły ze sobą mieszkańców Europy. Dowodem są trwające, również współcześnie, wojny religijne. Zresztą nieprawdziwa jest ocena Europy jako kontynentu chrześcijańskiego, bowiem narastają procesy ateizacyjne, a ponadto wielu Europejczykom bliskie są religie niechrześcijańskie. Obojętność wobec wartości religijnych nie jest dzisiaj postawą wyjątkową. A polski katolicyzm, często pozbawiony duchowej żarliwości, staje się katolicyzmem obrzędowym.

Nie dorównujemy krajom Zachodu zdobyczami cywilizacyjno-technicznymi, ale Polska może i powinna odegrać istotną rolę w Europie dzięki wartościom naszej kultury.

Szczególną wartością filozofii krajów słowiańskich jest przewyższanie racjonalizmu i uznanie wartości poznawczej intuicji. Mierzenie sił na zamiary, to mądrość płynąca nie tylko z twórczości Mickiewicza. Czyn ma decydować o wartości człowieka i być jego sprawdzianem. Swoistą wartością, którą kultywują kraje słowiańskie jest honor. Tworzenie kodeksów honorowych poszczególnych zawodów, zamiast kodeksów etycznych, stanowi tradycję, którą warto odrodzić. Kodeksy honorowe są wolne od założeń światopoglądowych. Jest to problem o szczególnym znaczeniu w krajach demokratycznych, ponieważ społeczeństwo zróżnicowane światopoglądowo bywa zniewalane przez kodeksy etyczne poszczególnych zawodów; trudno oczekiwać, by grupa zawodowa, na przykład lekarzy, odznaczała się jednakowym poglądem na świat.

Fundamentem jedności Europy powinny zostać uznane idee pacyfistyczne. Niezbędne jest utworzenie w wyższych uczelniach katedr pokoju. Ich powstania domagał się niemiecki filozof A. Sturm, neokantysta w pierwszej połowie XX wieku. Do dzisiejszego dnia humanizm renesansu – a więc odrodzony humanizm pogańskiego świata czasów starożytnych – uchodzi za wzór do naśladowania. Warto więc przypomnieć, że ludzie tamtej epoki odrzucali autorytety. Rozdzielano w tych epokach sferę polityki i moralności, a religia była traktowana jako sprawa osobista. Ceniono wartość istnienia człowieka oraz wiedzę naukową.

Łączą nas, Europejczyków, wartości zrodzone w czasach starożytnych. One są korzeniami dzisiejszej europejskiej kultury. W XX wieku wskazano nowe wartości, które jednoczą społeczeństwa wychowane w tradycji europejskiej. Są to tak zwane prawa człowieka. Niektórzy uczeni są zdania, że prawa człowieka mają charakter prawnonaturalny. Nie mniejsze oddziaływanie jednoczące – ale na niskim poziomie – ma kultura MacDonaldu, coca coli, filmów sensacyjnych, konkursów piękności, quizów i meczów sportowych.

Europa w naszych czasach pozostała w jakiejś mierze nadal chrześcijańska, ale głównie w

sferze obyczajowej. Typów religijnych w poszczególnych społecznościach jest niewiele i spotęgowało się oddziaływanie ateizmu. Są także w Europie liczni wyznawcy religii niechrześcijańskich, jak również osoby bezwyznaniowe oraz agnostycy.

Jedność Europy miałaby sens o ile byłby to krok w kierunku społeczeństwa globalnego, co nie znaczy uniwersalnego. Zróżnicowanie światopoglądowe ma stanowić cechę nierozdzielnie związaną ze społeczeństwem globalnym. Podkreślam to, ponieważ już w pierwszej połowie XX wieku Oswald Spengler przestrzegał przed rodzajem szowinizmu europejskiego. Starł się przewyżczyć błędne przekonanie o wyższości kultury europejskiej nad kulturami wyrosłymi na innych kontynentach.

Nie dorównujemy wprawdzie rozwojowi cywilizacyjno-technicznemu krajom Zachodu, ale mamy do zaproponowania ideały, które są zdolne odrodzić duchowo Zachód. Poważny problem zawiera się jednakże w tym, że my, Polacy, nie znamy wystarczająco własnego dorobku kulturowego. Powodowani wadliwą mikromanią narodową – nie cenimy dostatecznie tego, co powołaliśmy do życia.

Na końcu świata czyli Zakończenie

Urodzona w Warszawie i wychowana w niej zapragnęłam życia zespolonego z przyrodą. Kontakt z naturą w postaci wyjazdów nad morze przynosił mi piękne doznania, ale i stanowił namiastkę prawdziwego kontaktu ze światem przyrody. Po wakacjach wracałam do miasta i tęskniłam do tego, co nietknięte ręką człowieka. Wielkie miasta mają swój urok, by wspomnieć romantyzm światła i reklam nocnej Warszawy. Odnaczają się zgiełkiem, pośpiechem i tłumem w którym można zniknąć. Takie iluzoryczne, bo powierzchowne zespolenie z innymi, stawanie się składnikiem zbiorowiska, nie przewyższa osamotnienia. Zdarza się, że wymaga w sposób dotkliwy poczucie anonimowości.

Miałam w warszawskiej kamienicy, w dzieciństwie, piec kaflowe. Zmiany cywilizacyjne spowodowały w latach 80-tych założenie kaloryferów. Nie pogodziłam się jednak z wysuszonym powietrzem, które przynosi jako skutek ten typ ogrzewania. Brakowało mi także widoku ognia przy rozpalaniu w piecach, trzasku palącego się drewna, a gdy nadeszła ostra zima – nie było możliwe oparcie się o ciepłe kafle.

Okazuje się, że jeżeli umie się chcieć, to marzenia się wreszcie spełniają. Problem zawiera się w tym, że nie zawsze w momencie najbardziej natężonego oczekiwania. Tak było i w moim przypadku. Otóż w latach dziewięćdziesiątych otrzymałam niewielki spadek po mojej ciotce, który wystarczyłby wówczas na kupienie małego Fiata. Wahania czy zamienić spadek na samochód okazały się uzasadnione. Bo oto nieoczekiwanie pokazano mi starą, chłopską chatę na obrzeżach Nałęczowa. Znałam ten kurort, bo tu leczyła się moja mama.

cdn.

Maria Łayrakowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie – człowieka o sobie



Cyga

Do salonu moich myśli przyszedłem dzisiaj nieco wcześniej niż zamierzałem. Był pusty i cichy. W powietrzu unosił się lekki, przyjemny, różany zapach. Na stole stał flakon z białymi i czerwonymi różami. Na kredensie stał drugi flakon z białymi i czerwonymi różami. Ten zapach róż mówił do mnie swym prastarym językiem niepotrzebującym żadnych słów, aby poczuć i zrozumieć radość istnienia przy wiernej pomocy dwóch dziurek w nosie. Z powodu naszej ludzkiej przewrotności, a bardzo często odwrotności dla wyrażenia swej niechęci lub dezaprobaty mówimy – mamy to wszystko w nosie. Mam to wszystko w nosie, moi drodzy. Wciągnąłem głęboko powietrze przez nos. Różany zapach zatańczył we mnie baletem wspomnień. Zaraz, zaraz! Przecież zapachu nie widać, a on jednak zatańczył we mnie. Bo tak nam się chciało. Tak obu nam się chciało. Zapachowi, bo jest zapachem i mnie, bo mam prawo do wolności. Ze wszystkiego nie będę się tłumaczyć. Mam to w nosie, tak jak nasz Cyganek w Laskach. Niewidomy Cyganek w Zakładzie Dzieci Niewidomych w Laskach warszawskich.

Ten Cyganek dla nas był bardzo ciekawym wydarzeniem w naszym doświadczeniu życiowym. Oto jego historia. Stracił wzrok całkowicie, będąc małym dzieckiem. W czasie działań wojennych, na początku Drugiej Wojny Światowej, cygański tabor znalazł się pod ostrzałem niemieckich najeźdźców. Wybuch artyleryjskiego pocisku zabrał oczy cygańskiemu dziecku. To co zrobili jego rodzice, było dla dziecka najlepsze. Przyniesli je do Lasek i położyli u progu kaplicy w Zakładzie Dzieci Niewidomych. Mieli dobrego nosa. Chcieli, żeby mały książę nie był żebrakiem, żeby się czegoś nauczył, jakiegoś zawodu, dającego możliwość przyzwoitego życia w jego tak trudnej sytuacji. Gdy został odnaleziony u progu swego życia i u progu kaplicy, pod przykryciem na jego piersi znajdowała się kartka papieru z imieniem i nazwiskiem oraz data urodzin. Między imieniem, powiedzmy Mate-

usz, a nazwiskiem X, znajdował się napis: książę cygański. A myśmy wszyscy życzliwie mówili – Cyganek.

W powietrzu unosił się lekki, przyjemny, różany zapach. Zapach białych i czerwonych róż. Zapach wspomnień. Zapach Lasek. Podniecający zapach naszej wychowawczynie, Pani Ali, niedający nam spokojnie wieczorem zasnąć po całym dniu intensywnych zajęć szkolnych, harcerskich i sportowych. Zapach życia, przeżycia, przeżycia. Więc przeżywaliśmy życie i przeżyliśmy parę lat razem, razem z małym księciem Cygankiem, który nie widząc świata bożego tak jak my, cały ten świat miał w nosie. Mówiąc dokładniej, prawie w nosie, bo resztę świata miał w głosie. Chodził i przejmująco śpiewał dziwne, nieznane nam melodie swej duszy. Pytaliśmy Cyganka. Powiedz nam, co to jest, to co ty śpiewasz. Kto cię nauczył tych melodii i tych słów, których my nie rozumiemy. Cyganek się uśmiechał albo nie mówił nic i dalej półgłosem nucąc, snuł swoje zagadkowe, balladowe opowieści. Albo wciągając powietrze głęboko przez nos, tak jakby wdychał biało-czerwony zapach róż, tak jak to robię ja w tej chwili wspominając Cyganka, odpowiadał: – ja nie jestem książd, ani zakonnicca siostra Germana, ani Pan Henio od osiołków. Ja śpiewam to co słyszę. Ja śpiewam to wszystko, co słyszę w moich nogach, rękach, palcach, paznokciach, w moich zębach, uszach i moim nosie.

*Murga, murga agrum bacht
odnewal jaja, odnewal chym wuns
warona, warona sarnasar kru kru
odnewal jaja, odnewal chym wuns*

Zaintonował Cyganek swoją pieśń strzelistą i uniośł ręce w górę, tak jakby chciał pochwycić spadającą z nieba gwiazdę.

*Hu, hu, mrn, grm
warona sarnasar kru kru
odnewal jaja, odnewal chym wuns*

Sluchaliśmy tych niezrozumiałych dla nas słów, a efekt był taki, że budziły w nas żądzę wiedzy i nieugiętą wolę poznawania świata i tych wszystkich tajemnic, których nie widzą oczy, nie słyszą uszy i nie domyśla się rozum.

– Czy możesz nam powiedzieć Cyganek? – odezwał się Irek Morawski, nadając swemu głosowi organowo brzmiące dostojeństwo – czy sam rozumiesz to wszystko, co śpiewasz, te słowa, wydarzenia i te historie z dawno minionych czasów, kiedy ciebie nie było na świecie, a ty to słyszysz w nogach, w rękach i masz to wszystko w nosie? Ja jedno, bardzo ważne słowo rozumiałem – odnewal jaja, odnewal chym wuns. Wszyscy wiemy czym są jaja. A na początku było jajo, po to aby potem kur zapiał. No i kur zapiał. Mamy te jaja jak berety. Tyłu rzeczy nie rozumiemy i nie rozumiemy na tym świecie. Hu, hu, mrn, grm, murga, murga, agrum bacht.

Cyganek cały się wyprostował, jakby urośł nagle. Przez nos wciągnął powietrze, jakby chciał wchłonąć zapach świata, zagarniając obraz jego jestestwa. Potem odwrócił się do nas tyłem, a twarzą do okna i powiedział zmienionym, nieznany, obcym głosem: nie jestem żaden

Cyganek. Nie jestem książd ani zakonnicca siostra Germana, ani Pan Henio od osiołków. Dla was jestem kolega Mateusz. Dla siebie jestem książę, cygański książę, który wędruje przez świat z cygańskim taborem, nie ruszając się z miejsca. Tego zrozumieć nie możecie. I kolega Mateusz już nam w Laskach nigdy nie zaśpiewał. Za kilka dni odbył się koniec roku szkolnego. My obaj, Irek Morawski i ja wyjechaliliśmy ostatecznie z Lasek.

*Gdzieś daleko już za nami jak za murem złym
został obóz i cygańskich dziewcząt śpiew
i ogniska złotowłose i rozległa droga w step
do którego każdy cygan wrócić chce
Ale słońce znów zaświeci będzie sercu lżej
z dobrą wróżbą ruszą wozy dokąd chcesz
i cyganie jak poeci, świata dzieci zjeżdżają się
aby śpiewać pełnym głosem swoją pieśń.*

I zaczęliśmy śpiewać swoją pieśń w stolicy Dolnego Śląska Wrocławiu z Irkiem Morawskim w liceum. A potem na uniwersyteckiej polonistyce śpiewaliśmy swoją pieśń.

*W każdą noc nam się śni
dziki step śmiech i łzy
wolny świat, piękny świat tamtych dni
zapach traw gitar dźwięk
miłość ból wichru jęk
wozów skrzyp i nieznany wciąż los.*

A gdy zesza się cyganeria przy ognisku pomysłów, poeci, malarze i aktorzy założyliśmy wrocławską artystyczną, sławną grupę *Dlaczego nie*. A potem „Cygan poeta, artysta pieśniarz Andrzej Bartyński, to może ja i także cygan poeta Henryk Gała utworzyliśmy nasz wędrowny teatr *Poeci na estradzie*. Pianistami naszymi byli, najpierw Kurt Moszny, a potem wirtuoz Jerzy Jankowski. W ciągu pięciu lat istnienia daliśmy tysiąc koncertów.

Śpiewałem swoje cygańskie romanse do pięknej muzyki kompozytora Rysia Klisowskiego, a ludzie płakali. Poeta Henryk Gała liczył, obliczał, odliczał i notował. Na koniec informacja ścisła, dzisiaj perlistych beków było tyle i tyle.

Wozów skrzyp i nieznany wciąż los, ale to skrzypią otwierane drzwi do salonu mych myśli. Pierwsza wchodzi Wiosna, ciągnąc za sobą torbokółkę, a za nią filozof Pan Nietwór ze swym asystentem Danielem Spanielem.

– Dzień dobry, Panie Autorze. Jak tu ślicznie pachnie. Trochę się spóźniliśmy, ale to przez Pana, bo chcieliśmy się wycyzyc na pamięć tej ballady o Hance – powiedziała Wiosna.

*We Wrocławiu przy ulicy Monte Cassino
mieszka Hanka
narzeczona szesnastu Cyganów
nie umiejących grać na bałałajkach
A ona jest także gwiazdą filmowa
bez nakręcania filmów
i w czarnych gajach lwica płowa
i w białych palcach róża pąsowa
jakby w romansach
Oto już jadą cygańską drogą
polscy ulani*

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

Kazimierz Burnat, „Podniebienie niebios”. Fotografie: Anna Burnat. Wydawnictwo Eurosystem, Wrocław 2012, s. 72.

Hubert Czarnocki, „Opowieść”. Okładka: MZ Projekt. *Biblioteka Współczesnej Poezji Polskiej*, tom 9. Wydawnictwo „Zeszyty Poetyckie”, Gniezno 2011, s. 38.

„Cząstki pomarańczy. Nowa poezja ukraińska”. Wybór i opracowanie: Aneta Kamińska. Przełożyli: Aneta Kamińska i Andrij Porytko. Ilustracje: Jarosław Filewycz. Projekt okładki, stron tytułowych i projekt typograficzny: Małgorzata Chyc. Narodowe Centrum Kultury, Korporacja Ha!art, Warszawa-Kraków 2011, s. 752.

Rafał Gawin, „Wycieczki osobiste / Code of change”. Przełożył: Marek Kazmierski. Fotografia autora: Dominik Figiel. Projekt graficzny: Tomasz Wysota, www.7grafiks.com. OFF_Press, London 2011, s. 140.

Stanisław Grabowski, „Magister Sancho Pansa”. Redakcja i korekta: Krystyna Węgrzyn. Okładka i opracowanie graficzne: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska. Wydawnictwo PATI, Warszawa 2012, s. 70.

Witold Hreczaniuk, „Krajobrazy bliskie i dalekie. Wiersze”. Redakcja: Tadeusz Soroczyński. Okładka i grafika: Danuta Hejneman. Wydawnictwo i drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2012, s. 72.

Marcin Jurzysta, „Ciuciubabka”. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Agnieszka Kowalska-Owczarek. Projekt typograficzny: Michał Murowaniecki. *Biblioteka ARTERII*, tom 13. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Śródmiejskie Forum Kultury, Dom Literatury, Łódź 2011, s. 60.

Sławomir Mrugowski, „Otóż”. Projekt okładki: Robert Ratajczak. Na okładce grafika Sławomira Mrugowskiego. Warszawska Firma Wydawnicza, Warszawa 2011, s. 90.

Rafał Orlewski, „Okruchy Snu. Wiersze wyodrębnione z lat 1957-2011”. Wybór wierszy: autor. Opracowanie redakcyjne: Jerzy Krzysztof Orlewski. Zdjęcie: Maria Pawlicka-Włoka. Projekt okładki: Jerzy Włodzimierz Miszteła. Wydawca: Nauczycielskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe NASTOK, Piotrków Trybunalski 2011, s. 134.

Ezra Pound, „Wiersze, poematy i pieśni”. Wybrał, przełożył i opracował: Leszek Engelking. Obraz: Anna Nowacka. Projekt typograficzny: Artur Burszta. *Seria Poezje*, tom 67. Biuro Literackie, Wrocław 2012, s. 236.

Joanna Małgorzata Przybylska, „Pędraki”. Fotografie: Mariusz Golis. Projekt graficzny okładki: Mariusz Golis i Marcin Śliwiński. Miejski Dom Kultury w Radomsku, Radomsko 2011, s. 64.

Karol Samsel, Krzysztof Schodowski, „Altissimum Abiectum”. Ilustracje oraz opracowanie graficzne: Krzysztof Schodowski. Zdjęcia i projekt okładki: Mariusz Syperek. Na okładce wykorzystano fragment grafiki Krzysztofa Schodowskiego „Czekanie”. Wydawca: Zaułek Wydawniczy *Pomyłka*, Szczecin 2012, s. 102 + płyta CD.

Władysław Sebyła, „Dialog w ciemności”. Wybór i posłowie: Wojciech Bonowicz. Opracowanie graficzne serii: Artur Burszta. Rysunki: Julita Nowosad. *Seria 44. Poezja Polska od Nowa*, tom 5. Biuro Literackie, Wrocław 2012, s. 80.

Marek Kazimierz Siwiec, „Żyłka”. Fotografie na okładce ze zbiorów autora. Opracowanie graficzne: Eikon Studio. Eikon Studio, Toruń 2011, s. 100.

Robert Utkowski, „Czarna taksówka”. Projekt okładki i strony tytułowej: Przemysław Ochnia. Grafika: Przemysław Ochnia, Adam Jaskólski. Zdjęcie na str. 67 Jarosław Basaj. *Seria Bibuła Literacka*. Muzeum Witolda Gombrowicza Oddział Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza, Wsola 2011, s. 70.

Grażyna Zambrzycka, „Bóg miodu. Notatnik Jukatański”. Projekt okładki: Janusz Górnicki. Zdjęcie kamiennego portyku na okładce i fotografia autorki: Andrzej Brakoniecki. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Toronto-Rzeszów 2011, s. 46.

„Z uśmiechem. XXIV chleb nadziei”. Redakcja: Jacek Lubart-Krzysica. Opracowanie graficzne: Andrzej Błaszczuk. Na okładce: XIX-wieczna rzeźba Konfucjusza – Galeria Antyków MIASTO SZTUKI w Krakowie. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 2012, s. 80.

PROZA

Gabriela Adameşteanu, „Stracony poranek”. Przełożył: Tomasz Klimowski. Projekt okładki i stron tytułowych: Monika Klimowska na podstawie koncepcji graficznej Zuzanny Lewandowskiej. Fotografia na I stronie okładki Underwood & Underwood/Corbis/FotoChannels. Fotografia autora: Louis Monier. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012, s. 494.

Józef Hen, „Szóste najmłodsze i inne opowiadania”. Projekt okładki i stron tytułowych: Monika Klimowska. Fotografia na I stronie okładki Jeff Chevrier/istockphoto.com. Fotografia autora: Maciej Hen. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012, s. 464.

Cees Nooteboom, „Utracony raj”. Przełożył: Łukasz Żebrowski. Projekt okładki i stron tytułowych: Monika Klimowska na podstawie koncepcji graficznej Zuzanny Lewandowskiej. Fotografia na I stronie okładki: Claudia Dcuald / istockphoto.com. Fotografia autora Vici Peitsch / peitschphoto.com. *Seria Don Kidmi i Suncho Punsu*. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012, s. 160.

Wiktor Pielewin, „T”. Przełożyła: Ewa Rojewska-Olejarczuk. Projekt okładki i stron tytułowych: Monika Klimowska, na podstawie koncepcji graficznej Zuzanny Lewandowskiej. Fotografia na I stronie okładki: Nikada/istock-photo.com. Fotografia autora: Peter Peitsch /peitschphoto.com. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012, s. 408.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Jerzy Andrzejewski, Czesław Miłosz, „Listy 1944-1981”. Opracowała i przypisami opatrzyła: Barbara Riss. Projekt graficzny i typograficzny: Janusz Górski. *Biblioteka „WIEŻ”*, tom 269. Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską Oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, Towarzystwo „WIEŻ”, Warszawa 2011, s. 426.

Georges Bordonove, „Życie codzienne zakonu templariuszy”. Z języka francuskiego przełożyli: Anna i Mirosław Loba. Projekt graficzny okładki: Dariusz Jasiczak. Wydawnictwo Replika, Zakrzewo 2005, s. 214.

Piotr Bogalecki, „Niedorozmowy. Kategoria niezrozumiałości w poezji Krystyny Miłobędzkiej”. Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne: Tomasz M. Wiśniewski / www.zonedesign.pl. Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2011, s. 592.

„Buntownik, Cyklista, Kosmopolak. O Andrzej Bobkowskim i jego twórczości”. Pod redakcją Jarosława Klejnockiego i Andrzeja St. Kowalczyka. Projekt okładki i stron tytułowych: Janusz Górski. Na okładce fotografia Andrzeja i Barbary Bobkowskich ze zbioru Biblioteki Instytutu Badań Literackich PAN w Warszawie. Projekt typograficzny Marcin Kiedio. *Biblioteka „WIEŻ”*, tom 271. Towarzystwo „WIEŻ”, Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza. Warszawa 2011, s. 224.

„Dedecius-Miłosz. Listy 1958-2000”. Zebrał, przygotował do druku, opatrzył przypisami i wstępem: Przemysław Chojnowki. Tłumaczenie listów: Lothar Quinkenstein. Projekt graficzny: Zbigniew Koszałkowski. Śródmiejskie Forum Kultury, Dom Literatury, Łódź 2011, s. 154.

Magdalena Satora, „Sprawa templariuszy w dyplomacji zachodnioeuropejskiej 1307-1312”. Redakcja: Paulina Wierzbička. Projekt okładki: Jacek Dudek. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2011, s. 294.

DZIENNIKI

Miron Białoszewski, „Tajny dziennik”. Opracowanie graficzne: Witold Siemaszkiewicz. Zdjęcie na I stronie okładki: Tadeusz Sobolewski. Wydawnictwo Znak, Kraków 2012, s. 944.

[ad]

Cyga

(Dokończenie ze strony 20)

*i słycać słycać jak pobrzękuje
bardzo srebrnymi szablamami
Cygańska droga – jaka zielona
a ta herbata jest nie osłodzona
a ja nazywam się Hanka
tylko mi nie zjedzcie wszystkich truskawek
jaki masz ładny sweter
pocałuj mnie pocałuj mnie w usta
jak kobietę
Więc nauczyłem Cyganów
grać na bałalajkach
żeby się zaczął wreszcie
ten cygański romans
A tu nagle – dobranoc – powiedziała Hanka
i wzięła na drogę kompas
Poszła sobie nie wiadomo dokąd
Cygańską drogą
ułani milczący płyną
i nic nie widać
i nic nie słycać
jak gdyby o niej
słuch zaginął
A mieszkała we Wrocławiu
miała oczy piwne
i o kwiatach powiadała
melancholie dziwne.*

Bardzo wam dziękuję za to, że przychodzicie do mnie w odwiedziny. Salon mych myśli stoi zawsze otworem. A Tobie, drogi Irusiu Morawski, dziękuję za to, że przez całe swoje życie jechaliśmy razem w cygańskim taborze przyjaźni, wioząc ziarna nieśmiertelnych pytań o cel ludzkiego życia i jego finał.

*Zawisła noc jak płaszcz nad miastem
piosenki moje dam włóczęgom
a za piosenkę można gwiazdę
najromantyczniej objąć ręką
dlatego księżyc mam na myśli
cygański uśmiech Garsia Lorchi
dlatego któreś nocy przyjdiesz
do moich wierszy jak na koncert.*

– A mieszkała we Wrocławiu, miała oczy piwne i o kwiatach powiadała melancholie dziwne – A Cyganek, Cyganek już nam w życiu nigdy nie zaśpiewał.

– Moi panowie. Za chwilę podam na stół szarlotkę – powiedziała Wiosna i oddaliła się aby przynieść talerzyki.

Odnawał chym wuns, gdy przeczytać każde słowo na wspak, znaczy – *lawendo mych snów*.

– Proszę spróbować, to jest właśnie ak-tolrasz. Czytając na wspak, znaczy szarlotka – Jak się należy domyślić, to powiedziała Wiosna. Czytając na wspak Ansoiw.

ANDRZEJ BARTYŃSKI

„Prof. Paweł Śpiewak zareagował ostatnio z oburzeniem – w książce »Żydokomuna« – na stereotyp »spadkobierców KPP«. W zamian zaproponował inną charakterystykę: redaktorzy »Gazety Wyborczej« mieliby być rzecznikami liberalnego, tolerancyjnego patriotyzmu a la przedwojenne »Wiadomości literackie« – pisze Piotr Zaremba w »PlusMinus«, numer z 28-29 kwietnia 2012 roku.

Z pewnością to uwaga słuszna w stosunku do lat 70. i 80. Niektórzy szli wtedy nawet dalej: »Z dziejów honoru w Polsce« Adama Michnika to napisana pięknie próba pogodzenia tradycji insurekcyjnej i endeckiego pozytywizmu (tak, tak). W obu tych tradycjach syn KPP-owca zdawał się czuć jak u siebie w domu.

Ale dzisiaj? Czy skamandryci naprawdę zareagowaliby oburzeniem na piosenkę »Urodziłem się w Polsce«? Mogliby mieć zastrzeżenia do jej wartości literackich. Ale czy wyklnaliby ją jako przejaw nienawiści? Czy »Pierwsza Brygada« była na przykład szerzej »otwarta na świat« od tego rockowego kawalka? Bardziej tolerancyjna?

Nie chcę się bawić w psychologa i wyrokować, co tu jest wysane z mlekiem matki, a co przyjęte jako element towarzysko-politycznej poprawności w dorosłym wieku? Czego tu więcej? Starych obaw przed demonami wyzieraającymi z polskości, nawet nie tylko tej endeckiej? Czy aplikowania nam współczesnej zachodniej pedagogiki, która każe traktować nieufnie wszystko, co kojarzy się z dawnymi »nacjonalistycznymi« tożsamościami?*

„(...) Internet ułatwia mi życie. Generalnie tak zwany postęp cywilizacji właśnie na tym polega, że ułatwia życie. Albo przynajmniej to obiecuje. Ale wygoda może być użyteczna albo wręcz przeciwnie. Ludzkość wymyśliła koleje żelazne, ale przy tej okazji stworzyła też katastrofy kolejowe. Energia atomowa, wspaniale, ale jest też Czarnobyl i Fukushima. A nadto są sprawy, które wygody nie znoszą, wysiłku i poświęcenia wymagając. Na przykład moralność – mówi prof. Zygmunt Bauman w wywiadzie udzielonym Tomaszowi Kwaśniewskiemu w »Gazecie Wyborczej«, numer 88/2012.

Żeby zawiązać głęboki, nasycony moralnie międzyludzki związek, trzeba się wysilać. To jest robota ciężka i pełna ryzyka, nigdy się niekończąca, bez gwarancji powodzenia. A gdy konflikt urasta ponad siły i trzeba się rozstać, to nie mniejszego trudu wymaga, by nie urazić, nie zranić, a i samemu wyjść z twarzą.

Internet niezwykle ułatwia zarówno zdzierzganie stosunków, jak i ich zrywanie. Młodzi ludzie, dla których internet jest równie oczywistym składnikiem świata jak woda w

kranie, nigdy nie mieli możliwości nabrania pewnych umiejętności. Nie wiedzą więc, jak to naprawdę z przyjaciółmi jest. Z miłością. Ile to wysiłku. I skoro tak łatwo to zdaje się przychodzić w internecie, dlaczego jest tak cholernie trudne w niecyfrowym świecie? Marzy się im taka przeróbka owego świata, by można było w nim surfować, czyli się po nim ślizgać, tak łatwo i przyjemnie jak w internecie.

W angielskiej telewizji pokazano ostatnio grupę ludzi zamkniętą na dni parę w makiecie świata edwardiańskiego czy wiktoriańskiego. Jak oni strasznie cierpieli. Jak strasznie się męczyli, zaspokajając najprostsze potrzeby. To dawne życie, znośne, a pewnie i wygodne dla tych, co się w nim narodzili, przekraczało ich umiejętności. I to mimo że, teoretycznie rzecz biorąc, tamte czasy w porównaniu z naszymi były otchłanią prymitywizmu, z jakiej nas postęp wydobyl.

Okazuje się więc, że postęp to nabywanie jednych umiejętności w parze z zapominaniem innych. A upraszczanie sztuki życia polega na tym, by coraz więcej czynności powierzać czarnej skrzynce, sobie pozostawiając jedynie naciśnięcie guzików”.

„W teatrze kardynał Stefan Wyszyński spiera się z Witoldem Gombrowiczem o definicję polskości. Aktor Piotr Siwkiewicz odprawia regularną mszę katolicką. Wierni spod Białogostoku szykują się do ukrzyżowania proroka Ilji, wcześniej jednak zrobią imprezę na krzyżu i na próbę ubiczują słomianego chochoła. Bóg udaje się na spotkanie anonimowych ojców. Chrystus wraz ze zgromadzeniem duchów i aniołów sądzą polski mesjanizm. Maryja zostanie przedstawiona jako »nieletnia zgwalcona przez archaniola«, po czym w telewizyjnym talk-show wytknie synowi, że nie było go przy niej, gdy się starzała, a Szatan każe się przeprosić za czarny PR. Wampir Nosferatu, nim zanurzy kły w białej szyi swojej polskiej ofiary, kpiącym gestem zerwie jej katolicki krzyżyk, przed niczym już niechroniący. Święci i błogosławieni in spe mieszkają z nami przez ścianę. A ksiądz Popiełuszko razem z Solidarnością wychodzi z bagażnika, podczas gdy jego oprawcy tłumaczą, że walczyli o świeckie państwo – pisze Aneta Kyzioł w »Polityce«, numer 17-18/2012.

Po katastrofie smoleńskiej polski teatr próbuje rozgryźć nasz fanatyczny katolicyzm – ten, który pcha ludzi pod krzyż pod Pałacem Prezydenckim, zachęca do wielkich gestów, masami produkuje świętych i męczenników, w każdej chwili gotowych do cierpienia za ojczyznę. Pyta też o to, co się stało w naszym katolickim kraju z wartościami katolickimi, takimi jak miłość bliźniego swego?*

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ŻELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszczowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.